



NAUKA
FANTAZJA
PRZYGODA

JERZY GUREWICZ

ŁOWCY
CHMUR



WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA“

NAUKA — FANTAZIA — PRZYGODA

JERZY GUREWICZ

ŁOWCY CHMUR



WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA”

WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA”

NAUKA - FANTAZJA - PRZYGODA

JERZY GUREWICZ

ŁOWCY CHMUR



WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA”

PRZEŁOŻYŁ z ROSYJSKIEGO J. PRZYMANOWSKI

ILUSTRACJE WYKONAŁ WITOLD KALICKI

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ T. GRONOWSKI

Printed in Poland. Wydawnictwo MON „Prasa Wojskowa”, Warszawa 1949 r.

Drukowano w nakładzie 15360 egz., format B 5, na papierze dzielowym żeberk.

w druk. Wyd. „Prasa Wojskowa” we Wrocławiu - Nr zam. 590 0151/49.

Przystąpiono do druku 27. 8. 1949 r. — ukończono druk 12. 9. 1949 r. — B-74343

NIEZWYKŁE ZJAWISKO

W nocy z 5 na 6 czerwca 19... roku w zatoce Zund, prawie naprzeciwko Kopenhagi, zauważono niezwykle zjawisko.

Początkowo dały się słyszeć jakieś melodyjne dźwięki, jak gdyby ukrytej w głębinach morskich orkiestry dętej... Następnie przerażeni przechodnie ujrzeli jak po niebie wprost na brzeg pędził jakiś niesamowity potwór. Miał on olbrzymie, żarzące się ślepia, niezbyt wyraźne wgłębienie zamiast paszczy, skąd wydobywał się jakiś warkot, po bokach zaś błyszczwały niesamowite światła oczu.

Nagle, przy samym niemal brzegu, potwór szybko zawrócił wyrzucając purpurowy słup ognia i wszystko ucichło.

Po pewnym czasie, gdy widzowie jeszcze nie ochłonęli z wrażenia, potwór zjawił się ponownie, powtarzając ten sam manewr. Czternaście razy w ciągu nocy przepływał w powietrzu, zawsze w kierunku z północy na południe. Widzieli go nie tylko nocni spacerowicze, ale także wszystkie załogi statków stojących w zatoce oraz przybrzeżne latarnie morskie Szwecji i Danii.

Ludzie, posiadający bujną fantazję zapewniali, iż widzieli ogniste węże, smoki ziejące ogniem piekielnym, ociekające krwią głowy i miecze, a sceptycy twierdzili, że widzieli tylko kłęby dymu oświetlone fosforycznym blaskiem.

Cały dzień 6 czerwca wszyscy mieszkańcy Kopenhagi nie mówili o niczym innym tylko o niebywałym zjawisku. Jedni nazywali je „wielorybem niebiańskim”, inni „ogniem piekielnym”. Czcigodny Chendriksen wygłosił w kościele kazanie na temat: „Czy koniec świata jest bliski?...”

W Szwecji Królewskie Towarzystwo Naukowe na burzliwym posiedzeniu doszło do wniosku, że to nic innego tylko złudzenie optyczne, pochodzące z załamania się światła księżycowego w wilgotnej mgle, unoszą-

cej się nad zatoką. W Danii – bliższej miejscu występowania zjawiska, niezadowolono się podobnym wyjaśnieniem.

Uczeni Kopenhagi przez cały dzień Wypytywali wszystkie załogi statków przybywających do portu i wreszcie doszli do wniosku, że ten „niesamowity wieloryb niebiański” czy „wieloryby” sunęły jednym i tym samym szlakiem: wynurzały się jakby z zatoki, okrążały południową część Szwecji i wyspę Bornholm, a o świcie znikwały we wschodniej części Morza Bałtyckiego.

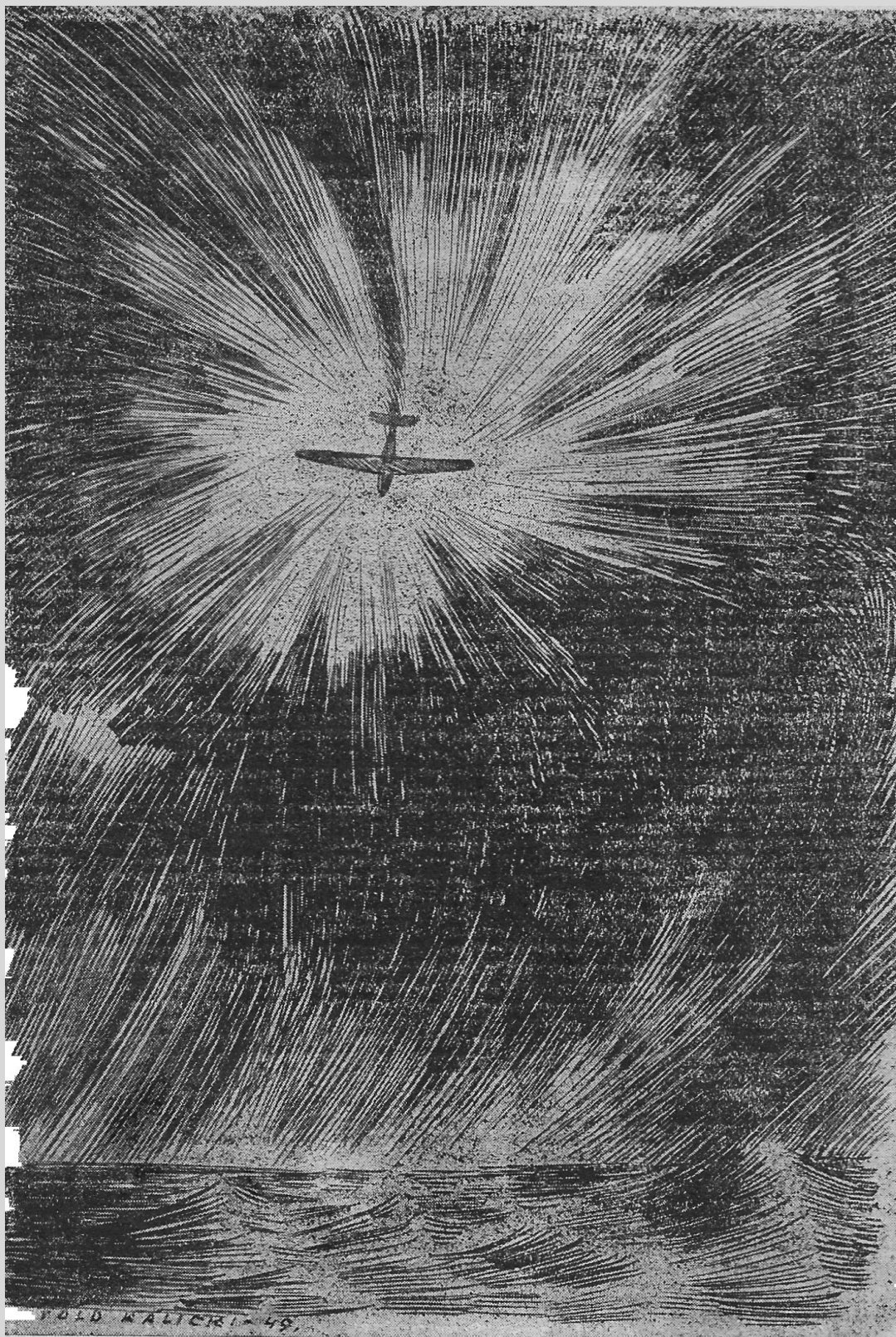
Uczeni duńscy z wielką niecierpliwością oczekiwali nadejścia następnej nocy. Olaf Kronborg, syn właściciela wielkich fabryk konserw, amator przygód, przyleciał z Norwegii własnym samolotem, chcąc, jak się wyrażał: „zapolować na „niebiańskiego wieloryba” nad zatoką”. Ale wieloryby, jakby w obawie przed śmiałym lotnikiem, nie pokazały się przez dwie noce. Lecz za to na drugim końcu Europy, prawie 100 km od Trapezundu, tureckie radiostacje namiarowe zameldowały o pojawieniu się potworów.

Na koniec około godz. 3 nad ranem, 10 czerwca, olbrzymi „niebiański wieloryb” ukazał się w Elsinore, w ojczyźnie Hamleta. Natychmiast wysłano telefonogram do Kopenhagi, ale zanim znaleziono lotnika, zanim oprzytomniał po gwałtownym rozbudzeniu i zrozumiał, czego od niego żądano, zanim siadł do maszyny i wystartował, już „wieloryb” minął miasto. Lecz doskonały samolot sportowy rozwinął szybkość 500 km na godzinę i wkrótce obserwatorzy zauważyli, iż dogania wieloryba.

Uczeni z niecierpliwością oczekiwali powrotu lotnika, którego lot śledzili w skupieniu. Nagle „wieloryb” błysnął oślepiającym światłem, które oświetliło na sekundę morze i w tejże chwili zniknęło. W nieprzeniknionej ciemności, tym większej, gdyż spowodowanej szybkim kontrastem, zauważono na falach maleńkie, drżące światełko. Widocznie dopalał się samolot, rozbity przez zderzenie z „wielorybem”. Po chwili do uszu obserwatorów dobiegł daleki huk detonacji i zaległa głucha cisza.

Towarzystwo Królewskie gorzko opłakiwało śmierć śmiałego lotnika, lecz domniemany nieboszczyk nazajutrz rano telefonował z Malmo, że żyje, że dowiózł go tam szwedzki kuter. Całą noc biedaczysko pływał po morzu, uczepiony do ocalałego z rozbitego samolotu skrzydła, i teraz drżącym z zimna i zachrypniętym głosem raportował:

– Wystartowałem. Widzę „wieloryba” doskonale – był cały zielony. Doganiam. Patrzę, po prostu obłok, tylko nieco świecący. Szedł on z szybkością – 180 km na godzinę. Z daleka rzeczywiście podobny do wieloryba, ale kiedy dosięgnął ogona... zobaczyłem, iż to tylko obłok. Nie zrażając się lecę dalej w gęstej chmurze – w samym „brzuchu” potwora... Nagle



„Błysnął oślepiającym światłem....

ogłuszył mnie huk i oślepiła błyskawica. Motor momentalnie stanął w płomieniach... i poczułem, że lecę w morze...

Jednym słowem zagadka nie została wyjaśniona nawet przez naocznego świadka, jakim był lotnik. I znów jedni twierdzili, że to latające ryby, naładowane elektrycznością, drudzy, że są to atmosferyczne wiry nad zatoką, i przy tym wskazywali na Turcję, gdzie także przecie są zatoki... Wreszcie byli i tacy, którzy przekonywali, iż są to nowe śmiercionośne pociski, że przed „wielorybami” lecą samoloty i trzeba stanowczo zestrzeliwać je z nadbrzeżnej artylerii.

Nie wiadomo, czym skończyłaby się ta historia, gdyby nie to, że 10 czerwca radio nadało następujący komunikat...

Ale lepiej zacznijmy opowieść od początku....

*

Na dwa tygodnie przed opisanymi powyżej wypadkami, na jednym z krańców miasta Saratowa, niedaleko od Sokolej Góry, lotnik Wadim Zorin i jego mechanik Wasyl Boczkarow odnaleźli dom Nr 8, malowniczą willę, ledwo widoczną wśród kwiecia i zieleni. Na drzwiach tej willi, obitych wołokiem i ceratą, przybity był niewielki szyldzik z napisem:

Prof. ALEKSANDER PIOTROWICZ CHITROWO doktor nauk agronomicznych

– Ten sam! – zakrzyknął mechanik Boczkarow, zaglądając przez ramię towarzysza – Chitrowo, „o” na końcu. Trzymaj się poruczniku, wpadliśmy do gospodarstwa wiejskiego – każą nam z susłami wojować!

Zorin powątpiewająco pokręcił głową.

– Mam zanotowane Chitrowo, ale A.L.“

– Wielka różnica P, albo L! Na pewno omylili się na poczcie. Pozwólcie zadzwonić, towarzyszu poruczniku!

Na dźwięk dzwonka w otwartych drzwiach stanęła miła staruszka w koronkowym czepeczku i uśmiechnąwszy się zapytała:

– Panowie do Oleczki?

– Chcemy się widzieć z towarzyszem Chitrowo A.L.

– Proszę, proszę – odrzekła staruszka – Profesor wkrótce będzie wolny. Pozwólcie dalej – tędy.

W przedpokoju porucznik przejrzał się uważnie w lustrze wiszącym na ścianie. Z lustra patrzył nań szczupły, elegancko ubrany oficer, w mundurze o błyszczących guzikach i czystokrwistej zielonej koszuli. Na pierwszy rzut oka widać było, iż to „świeżo upieczony” porucznik, który miesiąc temu ukończył podchorążówkę.

Po chwili znaleźli się w ciemnym, chłodnym pokoju. Przez oszklone drzwi słychać było dwa głosy: męski, trochę jakby zachrypły, i kobiecy, wysoki, zdenerwowany, gwałtowny.

– A ja twierdzę – dowodził męski głos, że uczony powinien doprowadzić pracę do końca. Jeśli trzeba będzie prowadzić doświadczenia siedem lat, będę je prowadził siedem lat, a jeśli nawet sto lat, to znajdę uczniów, którzy pracę poprowadzą po mojej śmierci.

– A skąd pewność, że ty masz rację i dlaczego przeszkadzasz innym iść obroną przez siebie drogą? – irytował się głos kobiecy.

Lotnik podszedł do oszklonych drzwi. Prowadziły one na obszerny taras, zarośnięty dzikim winem. Przy stoliku z szumiącym samowarem siedział tęgi staruszek w czesuczowym garniturze, w zmiętej panamie, zsuniętej z czoła, a naprzeciw niego, tyłem do drzwi, szczupła dziewczynka w pstrym sarafanie. Rumiana, znana już naszemu porucznikowi, staruszka ciągnęła starca za rękaw, chcąc mu zapewne coś powiedzieć, lecz on zdawał się nic nie spostrzegać, zajęty zaprzatającą go bez reszty sprawą.

– Trzeba wyczerpać wszystkie środki – mówił staruszek, uderzając łyżeczką w blat stołu. – Mamy teorię, a więc wstyd byłoby rezygnować po dwóch nieudanych próbach.

– Nie dwu, a dwuletnich – krzyknęła nieomal dziewczyna.

– Ładna piszczalka, nie ma co mówić – mruknął do siebie Wasia.

W półmroku panującym w pokoju zauważył dziwne przedmioty porozmieszczane na ścianach. Były to jak gdyby instrumenty muzyczne, powiększone do wprost fantastycznych rozmiarów. Jakiś olbrzymi bęben, wielkości prawie półtorej wysokości człowieka, gigantyczne trąby, podobne do armat, flety sięgające sufitu, kamertony w kształcie olbrzymich podków i wreszcie gwizdki milicyjne, ale tak wielkie, że mógłby się w nich ukryć cały milicjant. Z ciekawością mechanika, który spotyka nieznaną mu maszynę, jął dotykać każdego z instrumentów, opukiwać je i zaglądać, o ile to było możliwe, do wnętrza.

– A to mi profesor! – mruczał. – Susły gwizdkiem straszy! Ale jak on dmucha w ten gwizdek?

– Ciszej, Wasia, przecież jesteś w obcym domu...

Ale Wasia, nie słysząc oficjalnego „sierzancie”, nawet nie zwrócił uwagi na słowa porucznika.

Z tarasu dobiegał głos staruszka.

– Cztery pokolenia rodziny Chitrowo miały naukowe stopnie. Sumienność naukową – to nasza zasada.

– Chodzi nie o sumienność, a o zacofanie – spierała się dziewczyna, szarpiąc liść dzikiego wina. – To jest praca terminowa. Trzeba wciągnąć do niej wszystkie instytucje. – A czy Chitrowo, czy nie Chitrowo – to sprawa zupełnie podrzędna.

Profesor wytarł czoło panamą, zgniótł ją w rękę i ze zdziwieniem spojrział na nią.

– W jaki sposób ci wytłumaczyć, że białe – to białe, a czarne – to czarne? – zaczął, lecz nagle straciwszy cierpliwość krzyknął:

– Przecież ty jesteś jeszcze dziewczynką! Spacerowałaś pod stołem, gdy ja miałem wykłady!

– A, to taka sprawa! – zatriumfował Wasia. Zrozumiał wreszcie konstrukcję gwizdka. Gwizdek pracował przy pomocy małego miecha elektrycznego i trzeba było tylko nacisnąć guziczek...

Straszliwy świst rozległ się w pokoju. Jak gdyby cała dywizja milicjantów zagwizdała. Wasia odskoczył zatykając uszy. Przerażliwy, przykry dźwięk wydobywał się z kolosalnego gwizdka, meble dygotały, z sufitu spadał tynk, szkło w drzwiach brzęczało.

Sierżant chciał wyłączyć gwizdek, lecz nie umiał tego zrobić. Gwizd wywoływał ćmiący ból w uszach i zębach. Dźwięk ciągle potężniał, powietrze w pokoju zgęstniało od pyłu wapna, szkło pękło i odłamki rozsypały się po podłodze.

Dziewczyna i staruszek przybiegli z tarasu. Zastłoniwszy twarz fartuszkami jak gdyby zbliżała się do płonącego ogniska, dziewczyna bokiem podeszła do gwizdka i wyciągnąwszy rękę, po omacku trafiła na wyłącznik. Kilka chwil wszyscy stali ogłuszeni, oddychając ciężko. Staruszek z wyrzutem patrzył na gości. Dryblas-mechanik starał się ukryć za plecami niewysokiego lotnika.

Zorin pierwszy oprzytomniał. Zrobił krok ku staruszkowi, salutując ze specjalną elegancją, tak mozolnie wyćwiczoną w szkole.

– Porucznik Zorin – zameldował. – Jestem na pana rozkazy.

Staruszek szybko cofnął rękę wyciągniętą do powitania i odsalutował niezdarnie. Sądził widocznie, że wojskowy go nie zrozumie, o ile nie zwróci się do niego w wojskowy sposób.

– To bardzo dziwne – wymamrotał. – Jakieś nieporozumienie. Nie prosiłem o żadnego porucznika.

Lotnik i mechanik wymienili spojrzenie. „Dobrze byłoby, gdyby do prawdy nieporozumienie – przemknęła im myśl. – Pospacerowalibyśmy po mieście i z powrotem – do jednostki!”

– Ale może jest jakiś inny Chitrowo – na wszelki wypadek zapytał Zorin. – Mamy ściśle wskazówki: Instytut Agrotechniczny w Saratowie, A.L. Chitrowo.

Staruszek podniósł papiera do oczu.

– Nie wiem... Chitrowo? – Nie wiem – mówił szukając w kieszeni okularów. I nagle, jakby sobie coś przypomniawszy, wpatrzył się badawczo w lotnika.

– Szura! Aleksandra Leontiewna – wyrzekł ironicznym tonem – to do was... – i odwracając się do drzwi, dodał: – Oto, młodzieńcy, wasz naczelnik. Ale ja nie zazdroszczę, dokuczy wam ten naczelnik. To charakterek!

– Pięknie zostaliśmy odkomenderowani! – mruknął Wasyl.

Dziewczyna zauważyła, że pilot i mechanik zamienili kpiące spojrzenia. Zarumieniły się jej policzki, zadarty piegowaty nos, małe uszy, rumieniec spłynął nawet po szyi. Wasyla rozczuliło jej zmieszanie, więc spytał dobrodusznie:

– Dokąd i czym pojedziemy na spacer, panienko?

Szura Chitrowo wyprostowała się z dumą.

– Po pierwsze nie jestem dla was żadną panienką, a Aleksandrą Leontiewną. Po drugie – nie żaden spacer, a ekspedycja naukowa. Lecimy pojutrze o 6 z rana. Polecam wam zaraz udać się na lotnisko i przyjąć samolot od obsługi.

POJUTRZE O 6 Z RANA

Na trzeci dzień po tej rozmowie o godzinie 6 z rana samolot gotowy do lotu czekał na załogę przy molo rzecznej przystani. Była to stara wojskowa maszyna z czasów drugiej wojny światowej, przystosowana do wodowania. Zamiast niepotrzebnego już uzbrojenia był na niej wmontowany silnik napędzany wiatrakiem, a w kabinie znajdowała się wielka maszyna w pokrowcu z masy plastycznej. Szły od niej niezliczone kolorowe węże do skrzyń i stalowych balonów.

Pomimo tak wczesnej godziny na drewnianym pomoście zebrало się sporo odprowadzających. Zjawila się grupka młodych dziewcząt w kolorowych sukniach, młodzieniec w rogowych okularach i drugi, trochę starszy, barczysty, z krótką fajką w zębach. Szura przyjechała autem z wujem

i ciotką. Profesor milczał nachmurzony – widocznie gniewał się, że namówiono go na odprowadzanie. Ciotka denerwowała się, patrząc z poczuciem winy na siostrzenicę i na zirytowanego męża.

Do godz. 6 zebrało się około piętnastu osób, a każdy odprowadzał Szurę na bok i coś jej długo i przekonywająco przekładał.

– Ależ naturalnie! – odpowiadała dziewczyna – Na pewno nie zapomnę... wiem sama

Gdy przysła kolej na młodego człowieka z fajką, Szura otrzymała od niego gruby zeszyt. Młodzieniec mówił akcentując każdy wyraz:

– Tutaj jest wszystko. Zagłądaj często i zapisuj wszelkie drobiazgi. Najważniejsze – to system. U ciebie zawsze: „nieważne”, „zrobię to jutro”. Zęby tego nie było. Weź pod uwagę: nie lecisz dla siebie. Jeśli wrócisz bez pamiętnika – będziesz siedziała u papy w Saratowie.

– Ach, Szura – przerwał młodzieniec w okularach – nie dasz rady! Oddaj mi spadochron i bukiet, polecę zamiast ciebie.

Dziewczyna, która widocznie nie lubiła żartów, od razu się obraziła:

– To bardzo nietaktownie, Glebow. Wszyscy zgodzili się, abym leciała pierwsza. Mam wrażenie, że mam do tego prawo.

Nieoczekiwanie znalazł się ktoś odprowadzający Wasyla. W przeddzień sierżant wziął urlop od porucznika i pojechał do swej rodzinnej wioski, leżącej o 30 km od Saratowa za Wołgą. Cztery lata już nie był w domu. Razem z nim przyjechała matka, umyślnie, aby zobaczyć, jak syn lata.

Wasył był znany w pułku jako niespokojny duch, trochę kłótniwy i gadatliwy, żartowniś i śpiewak. Porucznik mimo woli śmiał się w duchu, patrząc, jak Wasył stoi wyprężony niczym na baczność przed miniaturową staruszką w czarnej chusteczce i mówi do niej basowym szeptem:

– Proszę, niech mama sama zje jabłko! Zostaw mamę, sam zapnę. Co sobie ludzie pomyślą?

– Wszak nosiłam go na rękach – dziwiła się matka Wasyla sama sobie. – Na tych właśnie rękach.

Dziewczęta śmiały się do łez i nawet nachmurzony profesor uśmiechnął się, wyobrażając sobie barczystego, wysokiego Wasyla na rękach drobnej staruszki.

Wszystko było gotowe. Start wstrzymywali meteorolodzy, dowiadujący się o stanie pogody w Astrachaniu. Silniki już huczały, odprowadzające dziewczęta kuliły się od zimna, wszelkie słowa pożegnania były wypowiedziane. Młodzieniec w okularach rzucał kamyki do wody. Za Wołgą, gdzieś za Engelsem, z rzecznej mgły wstawało bladożółte słońce, zabarwiając na żółto przezroczyście poranne niebo.

– Będzie wspaniała pogoda – wyrzekła jedna z dziewcząt, „znająca się” na lotnictwie. – Jak na zamówienie.

– Po obiedzie będzie można kąpać się – dodała druga.

Matka Wasyla zaraz wtrąciła się do rozmowy:

– Wy, lekkoduchy, tylko o kąpeli myślicie, a tu trzeba o zbiorach myśleć. Żyto i pszenica spala się od tej „dobrej pogody”. Już się wszystko zieleniło u nas, w Czerwonym Jarze, a teraz kłosa schną. Żeby choć mały deszczyk! W naszym kołchozie cały urodzaj zależy od deszczu. Nasz strumyk nawet bydła nie napoi. Ziemia bogata, lecz sucha. Dawniej to chociaż można było do popa pójść. Nasz pop nieboszczyk Atanazy pijak był, ale co do deszczu to wielki majster. Tylko wyjdzie za wioskę ze świętym obrazem, już pada... Powiedz mi, uczony człowieku – zwróciła się do profesora, który z zaciekawieniem się przysłuchiwał. – Nie jestem przeciwko nauce. Traktory, kombajny, sztuczne nawozy – to potęga. A jednak deszcz nie od was zależy. Od Boga deszcz...

Profesor zażenowany, a jednocześnie zadowolony uśmiechnął się.

– Uczeni pracują nad tym problemem – powiedział – z czasem go rozwiążą.

– Co tam z czasem! – odparła staruszka. – Urodzaj nie czeka – daj mu wody i już... Nie będzie deszczu – wyschnie wszystko, jak w czterdziestym szóstym roku.

Do rozmowy wtrąciła się Szura Chitrowo:

– Babciu, powiedzcie tam wszystkim w Czerwonym Jarze, że deszcz będzie. Nie obiecuję dziś czy jutro, lecz w tym tygodniu będzie na pewno. – Mówiła to głosem wzburzonym i szybko.

Staruszka spojrzała na nią z boku.

– To i ja tobie, wiercipięto, coś obiecuję! Nie w tym roku, to w następnym... Jesienią będzie dużo deszczu. Komu on wtedy potrzebny.

– Prawdziwy uczony nigdy... – zaczął profesor z wyrzutem.

– Przestań, wujku, to stare dzieje – Szura oddaliła się.

W tej chwili zjawił się synoptyk z komunikatem meteorologicznym w rękę.

Wszyscy zaczęli się śpieszyć i mówić jednocześnie. Młodzieniec w okularach wręczył bukiet i ucałował Szurę w oba policzki tak głośno, jak tylko całują ludzie obojętni.

– Mamy zaufanie do ciebie – krzyknął. – Pamiętaj o kurzu. Najwięcej wierzę w kurz...

– Prowadź dziennik! – rozkazał poważnie młodzieniec z fajką.

Ciotka Szury trąciła swego męża.

– Powiedz coś dziewczynie... Przecież krewna...

Przewyciężając ambicję, profesor nachylił się do siostrzenicy.

– Szczęśliwej podróży, Szura! Pamiętaj, żeś ty Chitrowo. Nie zniechęcaj się niepowodzeniem. Innym razem osiągniesz rezultat. Nieudane doświadczenie też jest potrzebne dla nauki.

Wasył wszedł do kabiny ostatni, zamknął właz. Samolot zaryczał groźnie, drobne fale pobiegły po wodzie. Odprowadzający powiewali chusteczkami; matka Wasyła, skrzyżowawszy ręce, dumnie oglądała się wokół.

„Oto jaki mój syn – myślała. – Na rękach go nosiłam!”

START

Właściwie wstyd przyznawać się, lecz naczelnik powietrznej ekspedycji, towarzysz Chitrowo A.L. po raz pierwszy znalazła się w powietrzu, jeśli nie liczyć jej lotu do Moskwy jeszcze w dzieciństwie.

Wtedy jako ośmioletnia dziewczynka całą drogę spędziła na kolanach u matki. Matka niedobrze się czuła. Sąsiadka jej, tęga dama z kwiatami na kapeluszu i kotkiem w torbie, też czuła się źle, a kotek ciągle miauczał żałośnie. Więcej Szura nic nie pamiętała i dlatego z takim zaciekawieniem oglądała się dokoła.

Z triumfalnym rykiem sunął hydroplan nad wodą. Szura chciała zauważyć moment odrywania się od wody, lecz nie zdążyła tego uczynić. Już brzeg i szary pomost były daleko. Małe postacie ludzkie wywijały rękami. Jedna z nich otrzepywała rękaw. Szura zrozumiała. „Najwięcej wierzę w kurz” – przypomniała sobie słowa młodzieńca w okularach.

Już pod skrzydłem znalazło się lotnisko – szerokie zielone pole, a na nim równo nakreślone żółte dróżki.

Potem nie kończące się rzędy samolotów z błyskiem słońca na aluminiowych kadłubach. Pod skrzydłami transportowców – olbrzymich białych ryb – spoczywały malutkie powietrzne motocykle. Za nimi stały śmigłowce z nachylnymi na bok rotorami, dalej szybkie odrzutowce z krótkimi trójkątnymi skrzydełkami; za nimi ultraszybkościowe samoloty, wrzecionowate z szydłem na przodzie, podobne do ryby-miecza na kołach.

Lotnisko kończyło się na brzegu wąwozu i Szura zobaczyła rodzinne miasto. Wcale nie było duże. Widać je było jak na dłoni – błękitnozielone

stoki Kumysnej Polany; szyny kolejowe i czerwone pudełka od zapalek towarowych wagonów; domy podobne do stojących bokiem cegieł; sploty ulic, biegnących ku Wołdze; lśniąca smuga wody z dymiącymi holownikami i nawet zielona wyspa. Szurę rozczulił teatr – kolosalny gmach z kolumnadą, wyglądał jak makieta pod szkłem.

Samolot zawrócił i popłynął nad srebrną wstęgą Wołgi. W poprzek rzeki ciągnął się most, obok – jego cień. Nad nim był cień pociągu z rozwanym cieniem pary.

Za Wołgą krajobraz stał się monotony. Samolot wzniósł się, i wiejskie domki, rozsiane w wąwozach, zlały się z ziemią. Szachownica pól czarnych, burych i zielonych zanikała. Znikły drzewa – maleńkie zielone pączki na cieniutkich nóżkach, pozostały jednostajne szarozółte pagórki z wąwozami. Po kwadransie Szura przestała rozpoznawać wioski i odwróciła wzrok od krajobrazu.

Porucznik Zorin siedział za sterami. Twarz jego miała wyraz skupiony, jak gdyby mnożył w pamięci trójcyfrowe liczby. Z trzech stron otoczony był zegarami, kranami, korbkami, wyłącznikami, wentylami, dźwigniami, lustrami. Na czarnych tarczach ruszały się białe strzałki. Szura domyśliła się, że jedna pokazuje wysokość, druga szybkość, trzecia – pochylenie samolotu, czwarta – ilość paliwa. Poza tym znajdowały się tu manometry, liczniki obrotów śmigła, busola, zegar, wskaźniki aparatów tlenowych, kątomierze itd.

Oczy porucznika wydawały się nieruchome, lecz ręce ciągle zmieniały miejsce pomiędzy kranami i dźwigniami.

– Jak wy dajecie sobie radę z tym wszystkim? – z zachwytem zapytała Szura, lecz nie doczekała się odpowiedzi.

Od wczoraj zapanował między nimi nastrój niezyczliwego niedowierzania. Szura była ambitna, Zorin również, a ludzie jednakowi zwykle odpychają się wzajemnie. Tarcia zaczęły się od pierwszych słów, gdy Szura powiedziała wielkopańskim tonem: „Polecam od razu udać się...“ Żaden generał nie mówił z lotnikiem tak pogardliwym tonem, lecz Zorin nie pomyślał, że generałowie umieją dowodzić i wiedzą, jak rozmawiać z ludźmi, a Szura pierwszy raz w życiu miała rozkazywać nieznajomemu i strasznie bała się, aby jej nie wyśmiano.

Zorin obrał sobie zaszczytny zawód lotnika. Był przyzwyczajony do szacunku i do tego, że go uważano za „tego właśnie Zorina“. Jeszcze w szkole był „tym właśnie“, którego wywoływano do tablicy przy wizytacji. Później zdał konkursowy egzamin do szkoły lotniczej, gdzie na jeden wakans było 12 kandydatów i w tej szkole był znowu „tym właśnie“, który otrzymywał nagrody za strzelanie i w matematycznych olimpiadach, „tym

właśnie", którego wybierano na dowódcę szkolnej kompanii za wspaniałe postępy w naukach, jedynym, który skończył kurs jako porucznik, gdy inni zostali tylko podporucznikami.

Ze szkoły Zorin dostał się do wojska, od razu otrzymał dowództwo pary i starał się zdobyć autorytet, stać się wybitnym oficerem, „tym właśnie” wzorowym... Jakżeż się biedak poczuł, gdy na lotnisku w Saratowie zapytano go z drwiną:

– Ach, to właśnie wy pilotujecie „latającą choinkę”?

Samolot Instytutu Gospodarstwa Rolnego faktycznie przypomina wczoraj ubraną choinkę. Do skrzydeł jego były przyłączone liczne różno kolorowe balony. Ich grona huśtały się w powietrzu tworząc fontannę barw skrzyły się w słońcu i odbijały w wodzie. Jakiś żartowniś przywiązał do kolorowej liny lalkę, zamykającą oczy. Lalka leżała na skrzydle, rozczapierzywszy krótkie celuloidowe paluszki i na wpół przymknawszy powieki kpiąc spoglądała na lotnika. Lalka podobna była do Szury: zadarty nos, kpiarskie spojrzenie. Zorin z pasją rzucił ją do wody.

A teraz musiał lecieć z tą Szurą nad Morze Kaspijskie, gdzie miało robić jakieś doświadczenia atmosferyczne. Zorin nie wiedział dokładnie jakie. Szura zaczęła mu tłumaczyć, lecz ponieważ jej język nie mógł nadążyć za nawałem myśli i wymawiała w każdym zdaniu tylko trzy pierwsze słowa, szafując naukowymi terminami, lotnik nic nie rozumiał i przerwał zimnym tonem:

– Szczegóły mnie nie interesują. W ogóle nie uznaję synoptyki.

A teraz, idąc po kursie na Astrachań, myślał: „Ten jeden raz – jakoś to będzie, a potem zaraz poproszę o powrót do dywizji. Jestem lotnikiem wojskowym, a nie szoferem dla niedowarzonych dziewcząt”.

Tymczasem Wasyl był zgnębiony przymusową bezczynnością, ciekawością i brakiem możliwości porozmawiania.

Stępując wyciągał swe długie nogi pomiędzy pudłami i korzystając z nieuwagi Szury, która obserwowała krajobraz, starał się zajrzeć pod maskę ciężkiej maszyny.

– Cóż to może być takiego? – szeptał. – Tak jakby elektrofor, a może i nie... Wyłączniki... Woltomierz... Co ona ma zamiar robić?

Gdy Wasyl spotykał nieznaną maszynę, czuł zawsze gorące pragnienie, by ją natychmiast rozebrać na części. Pilno mu było zapoznać się z mechanizmem, obznajmić ze wszystkimi szczegółami, patrzeć z zachwytem jak zręcznie i mądrze pasują do siebie. Im bardziej maszyna była skomplikowana, im trudniej było poznać jej działanie, tym łatwiej zdobywała serce mechanika.

– Butle... Po co te stalowe butle... – rozmawiał sam ze sobą.

– Acha, marka! Czernowski Kombinat... Zrozumiałe – płynny hel. To dla balonów. Ale po co są te balony?

Wasył napisał kartkę do porucznika: „Według mego zdania, ona będzie mierzyła szybkość wiatru balonami. Lecz dlaczego jest ich tak dużo?

Lotnik wzruszył ramionami – od dziewczyny nie spodziewał się żadnej rzetelnej pracy.

„Wkrótce – Morze Kaspijskie” – napisał w odpowiedzi.

Wasył uspokoił się, oparł plecami o nieznaną maszynę, włożył ręce do kieszeni i zaczął oczekiwać na pojawienie się morza. W jednej z kieszeni natrafił na śrubociąg, który wprost kręcił się pomiędzy palcami i parzył dłoń.

Tymczasem żółte piaski i niebieskie smugi delty Wołgi znikły, a na ich miejsce zjawiała się szarżółta równina. I dopiero wtedy, gdy na tej równinie ukazało się całe miasto holowników i barek, Wasył poznał redę, na której na pełnym morzu przeładowuje się parostatki kaspijskie na wołańskie barki i wtedy zrozumiał, że szarżółta płaszczyna jest właśnie Kaspijskim Morzem.

NAD MORZEM KASPIJSKIM

Lecz i nad morzem nie można było zrozumieć, czego szuka Szura. Według jej wskazówek samolot wypisywał na mapie ciekawe zakrętas i pętle.

– Kierunek na południe – rozkazywała. – Nie, na tamtą chmurkę...

A gdy zbliżali się:

– Zupełnie nie to, lecimy teraz na zachód...

Po 5–10 minutach znowu:

– Proszę bardzo znowu na tę chmurkę!

I znowu:

– Nie, nie, zupełnie nie to; proszę poprzedni kurs.

Przelecieli ukośnie północną część morza, od delty Wołgi prawie do wyspy Kutaty, zawrócili ostro na zachód uganijając się za kolejnymi chmurkami, jeszcze raz wyszli na brzeg wschodni obok Kara-Bogaz, potem wrócili latając jeszcze 100 km nad morzem i zakreślili koło. Porucznik spełniał bez sprzeciwu wszelkie rozkazy Szury postanowiwszy raz na

zawsze nie wtrącać się do jej „zabaw“, lecz gdy zużyto więcej niż połowę paliwa, nie pytając Szury skierował samolot do najbliższego miasta – Krasnowodzka.

Wszyscy troje odnieśli bardzo powierzchowne wrażenia z bytności w Krasnowodzku, jakie odnosi przejezdny pasażer, który wyjrzał na chwilę z dworca na miasto. Wasyl nie oddalał się od samolotu. Porucznik widział tylko port i skład benzyny, gdzie otrzymywał paliwo. Szura spędziła dwie godziny na bulwarze, dręczona upałem i kurzem. Na każdej ulicy kopano „aryk“ (kanał nawadniający), co zwiększało ilość kurzu. Krasnowodzka miał przyjąć wody Amu-Darii, które budowniczy Turkmenii po 400-letniej przerwie skierowali przez wyschnięte łożysko do Kaspijskiego Morza.

Irytując się przemierzała Szura brzydki skwer z popielatą trawą i piła letnią wodę ze smakiem metalu.

Chłopak w nastroszonej czapie, nalewający wodę z imbryka, oświadczył, zniżając głos:

– Przyjdź jutro! Oczekujemy parostatku! Będzie świeża woda z Baku.

Lecz Szura nie chciała czekać ani na wodę z Baku, ani z Amu-Darii.

Zauważywszy, że Wasyl zatrzymał się przy wejściu do bufetu, Szura zebrała swoją ekipę i momentalnie nakazała dalszy ciąg lotu.

– Ale może jesteście zmęczeni? – zapytała. – Może chcecie odpocząć?

Naturalnie, Zorin był zmęczony i chciał odpocząć, lecz za nic w świecie nie przyznałby się do tego.

Z Krasnowodzka skierowali się na południo-wschód do Lenkoranii. Pomarańczowe pasmo brzegu Turkmenii cofnęło się i znowu samolot zawisł nad wklęsłą czarą morza. Wobec jednostajności wody nie odczuwało się ruchu samolotu, wydawało się, że ugrzązł w gęstym powietrzu i rycząc tkwi w środku olbrzymiej kuli o niebieskiej górnej połowie i szarozielonej dolnej. Prawie pół godziny trwał ten rzekomy bezruch, lecz potem, przyjrząwszy się czemuś na horyzoncie, Szura krzyknęła z zachwytem:

– O, tam!

Na południu, gdzie wskazywała, płynęły w powietrzu bladoniebieskie przezroczyście obłoki.

Lecz były to nie obłoki, a góry – śnieżne szczyty irańskiego grzbietu Elbrus. Zgęszczone powietrze ukrywało podnóże, lecz wyżej przeświecał grzbiet, jakby oderwany od ziemi, i unosił się majestatycznie nad morzem.

W miarę zbliżania się, bezcielesne góry jakby porastały ciałem. Pojedyncze wierzchołki, niebieskie na wschodnich zboczach i różowe na zachodnich – zwały się w łańcuch; na dole rysowała się jaskrawoniebieska pręga brzegu; później i grzbiet, i brzeg połączyły się granatowymi pasmami stoków. Po nich kłębiły się i toczyły poszarpane obłoki.

Raptem porucznik wykonał ostry wiraż i brzeg znalazł się pod lewym skrzydłem.

Szura zerwała się oburzona.

– Obce terytorium! – przekrzykując silniki powiedział Zorin. – Iran!

Rozczarowana dziewczyna znów usiadła. Patrzyła z pożądaniem na obłoki, tak bliskie, a niedostępne, i nawet oblizywała wargi, jakby chciała pić.

Nagle oczy jej zapłonęły.

– Patrzcie – krzyknęła rzucając się do aparatów – cumulus! Jaki wspaniały egzemplarz! Proszę go przebić na wylot!

Faktycznie, z lewej strony, przecinając drogę samolotowi, dążył do brzegu olbrzymi obłok. Jego ostre krawędzie, podobne do plecionej bułki, wznosiły się w górę i dopiero na wysokości 6–5 km rozplywały się w kształcie płytkiego kowadła.

Wasył wyciągnął szyję szykując się do obserwacji. „No, teraz się zacznie” – pomyślał.

Szura otworzyła szybko krany balonów z helem i zaczęła rzucać przez luk paczki różnokolorowych baloników, połączonych cienkimi wężami. Padały jak wiązki bananów i napełniając się w locie gazem, zawisały jak sznury paciorków. Szura włączyła kontakt wielkiej maszyny. Tarcze pod przezroczystą maską poczęły wirować, coraz prędzej, prędzej, zajęczały, zaśpiewały cienkim głosem i zaraz jakaś niepojęta siła rozłączyła grona balonów. Teraz samolot włókł za sobą jakby szkielet gigantycznego parasola. Wasył nie zobaczył nic więcej. Samolot zanurzył się we mgłę. Za mleczną zasłoną znikł brzeg, morze i niebo. Wilgotne skrzydła rwały luźne, półprzezroczyste strzępki chmury.

Minęło kilka męczących chwil, mleczna zasłona zaczęła rozwierać się, słońce zalśniło. Cumulus zjawił się w całej swej okazałości za samolotem, a z jego boku zaczęły wydobywać się umyte przez wilgoć balony.

Wasył był rozczarowany. Oczekiwał czegoś nadzwyczajnego, a oni przeszli obłok jak igła przez wodę, bez śladu. Zdaje się i dziewczyna była

niezadowolona. W każdym razie, zmarszczywszy jasne brwi, kazała Zorinowi powtórzyć manewr.

Gdy po raz czwarty wyszli z obłoku wlokąc za sobą strzępki mgły, podobne do siwych włosów, porucznik stanowczo zawrócił od brzegu.

– Wody terytorialne – wytłumaczył.

Ryk motorów zmuszał go do lakonicznych określeń.

Zrezygnowana Szura ze smutkiem spoglądała na cumulus. Olbrzymi obłok, nie zwróciwszy uwagi na ludzi, gospodarujących w jego wnętrzu, płynął z dumnie wzniesioną pierśią załatwiać własne sprawy w Iranie.

Teraz Wasyl, zainteresowany tym dziwnym polowaniem, wołał co chwila:

– Cumulus, patrzcie! Spójrzcie, jaki apetyczny! Łapać prędzej!

Niestety, „apetyczne” cumulusy tłoczyły się na obcym brzegu.

– Proszę mi wytłumaczyć – mówił z przesadnym oburzeniem – co one tam robią na brzegu? Wszak powitały z morskiej pary?

Szura uśmiechnęła się. Śmiać jej się chciało, że dorosły człowiek nie zna tak prostych dla niej prawd.

– Dla utworzenia obłoków – wyjaśniła dziewczyna – trzeba, aby para znalazła się w chłodniejszej atmosferze. Na granicy lądu i morza często bywają w powietrzu pionowe prądy, które mieszają poszczególne warstwy o rozmaitej temperaturze. Poza tym dla utworzenia obłoków potrzebny jest kurz, a tego jest więcej na lądzie. Jakże stąd najbliższe miasto? Baku? Czy byliście tam? – zakończyła z niezrozumiałą logiką.

Wasyl zawsze był gotów opowiadać zdarzenia życiowe.

– Przyjechałem do Baku jako palacz na „Szaumianie”, lecz parostatek wymagał naprawy, a ja zająłem się wydobywaniem ropy naftowej w Arteinie. Borowaliśmy szyb w morzu na głębokości 18 metrów. Mówił mi nasz geolog Mikołaj Piotrowicz, że pod Morzem Kaspijskim wszędzie jest ropa – od Baku do Emby...

– A czy dużo kurzu w Baku? – nie wiadomo czemu zapytała Szura.

– O! Więcej niż potrzeba! Gdy tylko wieje wiatr, z każdego podwórka, śmietnika pędzą gałgany, papierki, popiół, kurz, całe worki piasku... Trudno nadążyć z wycieraniem oczu!

– Wspaniale! – ucieszyła się nie wiadomo czemu dziwna dziewczyna. – Towarzyszu poruczniku, lecimy do Baku!

Postanowiwszy niczemu się nie dziwić, Zorin zrobił skręt w prawo, i wkrótce góry Iranu, zasłonięte mgiełką, znów stały się strzępkami rozplywających się obłoków.

BAKU

Porucznik Zorin po 55 minutach wyprowadził maszynę nad Baku. Miasta jeszcze nie było widać, a już nad morzem unosiła się mglista kopała przesiąkniętego kurzem miejskiego powietrza. Rysowała się wyraźnie na tle przezroczystego morskiego nieba.

– Może sprzątniecie wasze dziecinne baloniki? – krzyknął lotnik do Szury. – Jakoś nie wypada, zbliżamy się do miasta, a lecimy nie na samolocie, lecz na „latającej choince”.

Szura rozgniewała się.

– Proszę, bez żadnych rad. Te dziecinne baloniki, jak je nazywacie, będą potrzebne w mieście. Muszę je przewieźć przez najbardziej zakurzone miejsca, przez dym kominów fabrycznych, jeśli zaryzykujecie tak niski lot.

Widocznie dziewczyna wykryła słabą stronę lotnika. W Krasnowodzku było: „o ile nie jesteście zmęczeni...” – a w Baku: „jeśli zaryzykujecie”...

Zorin zagryzł wargi. Jeśli on zaryzykuje! Pomyśleć, wielka rzecz – latać naokoło kominów fabrycznych!...

Samolot zbliżał się od południowej strony, całe miasto było przed nimi jak na dłoni. Wyrastały budynki, liczne czarno-czerwone parostatki i naładowane barki. Na lewo, na Bibi-Ejbacie i na pagórkach za miastem widać było szeregi wież wiertniczych, okalających stolicę Azerbejdżanu. Na prawo, nad „Czarnym Miastem”, kołysał się obłok brązowego dymu, a każdy komin fabryki lub statku wlewał swój ciemny strumyczek do tego olbrzymiego jeziora sadzy i kopcium.

Szura poczuła na sobie szybkie spojrzenie lotnika i nagle wszystko się zmąciło. Parostatki – zabawki, stojące w przystani, stały się kolosalnymi żelaznymi rybami, sześciany domów przybliżyły się, z wyciem migotały białe, błękitne i pstre strzępy. Okropny ciężar przytłoczył pierś Szury; na sekundę ujrzała puste pole, oplecione kominami i jaskrawobiałą geometryczną linię szosy. Szosa rozszerzyła się, objęła cały horyzont, mignął lakierowany daszek stojącego auta i Szura zrozumiała, że za chwilę spadną na ziemię.

„Koniec” – pomyślała dziewczyna, zamykając powieki.

W różnych punktach miasta przechodnie znieruchomieli z podniesionymi głowami. Dziwny samolot, holujący czarne kule, zaczął popisywać się akrobacją nad Czarnym Miastem. Rzucił się wprost na parostatek, przeleciał nad pokładem, uniósł się w górę i wszystkie wlokące się za nim balo-

ny z hukiem miotając iskry przemknęły nad kominem. Co się stało z kominem? Dym, jakby odcięty, powlókł się za balonami. Może coś się popsuło w palenisku? Nie, znowu parostatek wyrzuca gwałtownie parę, sapie, jakby chciał dopędzić inne kominy, wlać swój strumyk do ogólnego czarnego obłoku.

Teraz samolot kąpie się w tym obłoku. Pętla... druga... trzecia... czwarta...

Ach, ileż dymu za samolotem! Może się zapalił? Pikuje! Prosto na komin fabryczny? Obok! Znikł poza domami. Czyżby katastrofa?

Z garażu straży ogniowej wyjechała dzwoniąc czerwona lakierowana maszyna.

Dziewczęta, tańczące przy dźwiękach muzyki na placu, z piskiem uciekły w krzaki. Wielu ludzi dzwoniło na pogotowie.

Ostatni lot nurkowy Zorina widziały tylko dwie dziewczynki na Mardakiańskiej szosie za miastem. Plotły wianek z kwiatów, siedząc na skraju, i odłożyły kwiaty, aby popatrzeć na zabawne wyczyny błyszczącego samolotu z ogonem dymu.

– Zupełnie jak wąż ognisty w bajce – powiedziała jedna.

– Jak meduza na obrazku – odparła druga.

Przejechało auto – dziewczynki odwróciły się od kurzu. Wtem nagle ryczący samolot, dym, piasek, iskry – wszystko skłębiło się nad szosą. Dziewczynki jak piłki stoczyły się do rowu. Gdy zdecydowały się wyrzeć, szosa była pusta, tylko na asfalcie tworzyły się drobne wiry kurzu, jak gdyby ktoś niewidzialny gorliwie zamiatał szosę malutką miotełką.

– On połknął samochód i odleciał – powiedziała pierwsza dziewczynka.

– Świetnie, żeśmy się schowały – rzekła druga.

Wzięły się za ręce i pobięły do domu.

BURZA BEZ DESZCZU

– Wspaniale! – wykrzyknął Wasyl. – W ten sposób można oczyszczać powietrze w miastach. Gdy pracowałem w fabryce chemicznej, lekarz nam mówił...

Szura odważyła się otworzyć oczy.



— wszystko skłębilo się nad szosą...

– Bardzo dobrze! – Wasyl poklepał ją poufale po ramieniu. – Wasza sieć czerpie kurz, jak łyżka. Dlaczego on nie przechodzi pomiędzy balonami? Nie można przecież nosić wody w sicie?

Dziewczyna rzuciła się do okienka. Za samolotem wlokła się chmura kurzu i dymu. W jej wnętrzu kręciły się jakieś wiry i cała ona drżała i kurczyła się, jak gdyby była oderwanym ogonem bajecznego potwora, wijącym się w śmiertelnych konwulsjach.

– Proszę was, poruczniku, lećmy nad morze... Jak najmniejsza szybkość.

Porucznik skinął głową z uśmiechem. Jego twarz zaróżowiła się. Był bardzo zadowolony z możliwości popisania się efektywnym pilotażem i z tego, że dumny naczelnik ekspedycji stracił głowę przy pierwszej pętli.

Parę minut samolot leciał już nad wodą, prawie dotykając grzbietów fal. Po pewnym czasie Szura spochmurniała.

– Wiecie co, poruczniku – rzekła – spróbujcie wznieść się na 1 000 metrów.

Później zażądała wzniesienia się do 3 000 m, jeszcze raz zniżenia lotu i minimalnej szybkości, potem wodowania i po jakimś czasie znowu wzniesienia się na maksymalnej szybkości. Widocznie sama nie wiedziała, co robić i próbowała rozmaitych sposobów. Ogon z kurzu za samolotem dokładnie wypełniał wszelkie manipulacje – zmniejszał i zwiększał szybkość, wznosił i słał się po wodzie. Tylko minimalna cząstka kurzu rozwiewała się i przy wirażach było widać żółtawy dymek. Tak są widoczne z lokomotywy wagony długiego towarowego pociągu.

Najbliższe balony, usiane ostrymi igłami, iskrzyły się cały czas – widocznie były silnie naładowane.

Zorin co chwilę widział małe, fioletowe iskry w lustrze, które służy do obserwacji przestrzeni za samolotem.

Nagle, nie tylko w lustrze, ale w całej kabinie zabłysło przeraźliwe białe światło. Minęła sekunda pełna trwogi – i jakby dopędzając mknący samolot, przetoczył się ogłuszający grzmot.

„Cóż to?” – mignęło w głowie Zorina. – „Front burzowy?”

Parę chwil patrzył ze zdumieniem na bladobłękitne niebo, gorejące na zachodzie słońce, ciche morze. Grzmot przy jasnym bezchmurnym niebie!

Lecz zdumienie trwało krótko. Nowa błyskawica rzuciła oślepiające światło na fale. Wybłysła z samego centrum wrzącego obłoku.

Szura wyciągnęła z pudła spod maszyny drucianą koszulkę z drobnych miedzianych pierścieni i nie trafiając do rękawów, a tracąc równowagę, zaczęła ją gwałtownie wkładać. Spadochron przeszkadzał jej przy tym.

– Zmniejszyć szybkość! – krzyknęła. – Zbyt wielkie tarcie.

Porucznik chciał dotknąć dźwigni gazu, lecz musiał szybko cofnąć rękę. Przyszło mu na myśl, że naładowana elektrycznością chmura może ich dopędzić i błyskawica uderzy wtedy w samolot, więc czym prędzej dodał gazu, aby maszyna wzniosła się wyżej od chmury. Znow błyskawica i straszny grzmot. Jeden balon pękł i cała lina zawisła bezwładnie. Dolne balony kąpały się w wodzie lub sypały iskry na grzbietach fal. Spod maski wielkiej maszyny też wydobyła się iskra. Poczuli zapach ozonu i spalonej gumy.

Mocno trzymając drążek krzyknął Zorin do mechanika:

– Waśka, wyłącz do diabła wszystkie kontakty!

– Nie trzeba... nie wolno! – Szura złapała rękę Wasyla. – Ja poprawię. Niżej, poruczniku!

Tymczasem Zorin, obawiając się gromu, wznosił się coraz wyżej.

– Trzymać kurs! – krzyknęła Szura i otworzywszy luk postawiła nogę na skrzydle.

– Waśka, trzymaj ją. Ona oszalała! – wrzasnął Zorin.

Starając się utrzymać samolot możliwie równo pilot szedł do wodowania. Teraz dziewczyna leżała na płacie i odwróciwszy się od przepaści przebierała kolorowe węże. Wasyl zdumiony i zły trzymał ją za pasek. Narzeczona Szura znalazła potrzebny przewodnik. Podniósłszy się na skrzydle krzyknęła do Wasyla:

– Trzymajcie przewodnik! Narzucicie go na bęben! Kręćcie prędzej czarną korbkę!

Wasyl wypuścił z ręki pasek i odwrócił się do nawijaka. Uderzenie! Ogłuszający grzmot i oślepiający błysk zmusiły go, by przykucnął i zasłonił oczy. Za chwilę wyprostował się i wyciągnął rękę do paska Szury... Skrzydło było puste.

– Łamaga! – krzyknął Zorin. – Skacz teraz za nią!

Doświadczony pilot, przyzwyczajony do jednoczesnej obserwacji około 50 zegarów i wszystkiego, co się dzieje z przodu, z tyłu, na prawo, na lewo, z góry i z dołu, zauważył, jak spadła Szura. W tym momencie, gdy dziewczyna wstała, aby oddać przewodnik Wasi, grzmot huknął za jej plecami. Szura drgnęła i nie utrzymawszy równowagi ześlizgnęła się ze skrzydła. Na szczęście automatyczny spadochron otworzył się w porę i teraz porucznik widział, jak daleko za samolotem kołysze się w powietrzu przezroczysty biały grzyb.

– Skacz teraz za nią! – wołał do Wasyla, szykując się do wodowania.

Porucznik Zorin należał do tych ludzi, którzy w najcięższych chwilach mówią zawsze: „Ja sam to zrobię”, lecz Wasyl nie był pilotem i nie mógł posadzić maszyny.

Zazwyczaj powolny mechanik stał już na skrzydle, wybierając odpowiednią chwilę do skoku. Pod nim, niezbyt głęboko, widać było garb piaszczystej wysepki, który pod wodą, prześwietloną słońcem, wyglądał jak żółta mielizna. Spadochron Szury powoli zbliżał się do niej. Dziewczyna wisiała na sznurach, jak bezwładny ciężar, skłoniwszy głowę na ramię – widocznie była ogłuszona uderzeniem. Skoczywszy, Wasyl od razu otworzył spadochron. Z góry widział, jak rozpostarła się na spokojnej wodzie ruchliwa tkanina spadochronu Szury. Dziewczyny nie było widać – może zaplątała się w fałdach. Wasyl starał się lądować jak najbliżej białej plamy i z trwogą patrzył w dół. Samolot dopędzając go zniżał się w ostrej spirali. Fontanna kropel... Uderzenie... Mętny piasek w zielonej wodzie...

Wasyl dosięgnął nogami dna, wypłynął i szybko wyzwoliwszy się ze sznurów podniósł głowę nad wodę. Teraz miał inne pole widzenia. Od razu zgubił spadochron Szury i nurkując nie mógł go znaleźć. Najbliższa ciemna plama była kamieniem. Wasyl dotknął ręką śliskich wodorostów i popłynął pod wodą w inną stronę.

Było bardzo płytko – 2–3 metry. Dno oświetlone słońcem było złociste. Malutkie ruchliwe rybki uciekały przed Wasylem, za nimi pobiegły ich cienie.

Krab wczołgał się bokiem pod kamień, zatrzymał się, popatrzył na mechanika ruszając kleszczami.

Zdenerwowany mechanik nie zrozumiał od razu, że jego własny spadochron zasłania mu trzecią część pola widzenia.

Okrążywszy wzdęte pęcherze mokrej tkaniny Wasyl zobaczył o jakieś 100 metrów dalej takie same pęcherze spadochronu Szury.

###

Gdy porucznik wodował, mechanik, roztrącając szeroką pierśią wodę, Wychodził na brzeg. Zobaczywszy z daleka porucznika Wasyl podniósł na rękach dziewczynę.

Zorin wyszedł z kabiny i brodząc w wodzie poszedł w kierunku Wasyla. Spotkali się na brzegu. Wasyl ukląkł i ostrożnie położył Szurę na piasku. Twarz jej była bardzo blada, zęby zaciśnięte. Wasyl dotknął zimnego policzka i z przerażeniem cofnął rękę.

– Umarła! – wyszeptał.

Zorin pochylił się nad dziewczyną, podniósł powiekę. Słyszał, że po źrenicach można określić, czy człowiek żyje, czy umarł. Lecz oczy Szury wydały się lotnikowi puste i martwe.

- Jaka to była dzielna dziewczyna! – westchnął Wasyl.
- Trzeba zastosować sztuczne oddychanie – postanowił porucznik.
- Umiesz?

Przypominając sobie dawno odbyty kurs sanitarny porucznik i mechanik niezdarne ściągnęli drucianą koszulkę i odwrócili bezwładne ciało dziewczyny; porucznik bardziej zdecydowany rozwarł jej zęby ołówkiem.

Zdenerwowany Wasyl przyglądał się temu z wyciągniętą szyją.

- Ostrożnie, połamiesz jej zęby – mówił, nie wiadomo czemu, szeptem.

Z otwartych ust wylało się trochę wody.

- Teraz trzeba język wyciągnąć – rzekł porucznik.
- Jeszcze trzeba go przebić igłą – dodał Wasyl i zdjął haubę, gdzie według żołnierskiego zwyczaju była wpięta igła z nitką.
- Bierz za rękę – wyrzekł stanowczo porucznik, lecz naraz zastanowił się. – Czy tylko żebra całe? Może po prostu szarpać za język? Zdaje się, że tak się robi?

- A może koniak... ja mam... – zaproponował Wasyl. – Potrzy-
maj usta, ja więcej.

Nachylił się z butelką w jednej ręce i z igłą w drugiej.

Kto wie ile jeszcze tortur musiałaby znieść Szura, gdyby w tej chwili nie otworzyła oczu.

- Hura! – wrzasnął Wasyl i schwycił swego przełożonego w objęcia. – Poruczniku, jesteś geniuszem! Przestań latać, bądź doktorem! Pozwól, że cię ucałuję!

PRZY OGNISKU

Szura wyciągnęła bilet i nagle zrozumiała, że egzaminatorem jest jej własny wujek. Wujek nachmurzył brwi i zapukał łyżeczką w stół.

- No, Szura, śmiało! Odpowiadaj, jak prawdziwa Chitrowo.

„Wujkowi muszę odpowiedzieć doskonale – pomyślała. – Nie wypada, żeby postawił mi dwójkę”. Z emocją przeczytała bilet i poczuła z przerażeniem, że ani słowa nie rozumie. Jeszcze raz przeczytała, nawet

nauczyła się na pamięć niepowiązanych logicznie słów. „Jaki wstyd – pomyślała – ja nawet nie rozumiem, o co on mnie pyta“.

Było nadzwyczaj przyjemnie obudzić się po takim śnie. Po ciemku Szura chciała zapalić lampkę na stoliku i zaplątała się palcami w futro. Nie wiadomo czemu była przykryta nie kołdrą, a jakimiś kurtkami, które pachniały przyjemnym, trochę słodkim zapachem benzyny.

– Pozwólcie, poruczniku, że ja to zrobię – powiedział ktoś obok. – Miejsce dla starego palacza. Gdy paliłem trzciny pod Astrachaniem, układaliśmy ognisko tak...

Wtedy Szura przypomniała sobie: Błyskawice... pluszczące w wodzie balony... grzmot... żółtozielona woda morska nad głową... twarze lotników na brzegu...

Z trudnością Szura wygramoliła się. Na niezwykle czarnym niebie lśniły nieprawdopodobnie błyszczące gwiazdy, których było znacznie więcej niż w Saradowie. Tylko pewna część horyzontu była zamglona. Balony, unoszące się w powietrzu, utrzymywały jeszcze nieco kurzu z Baku.

– Ach, topielica – dobrodusznie powitali Szurę pilot i mechanik. – Jak zdrowie?

Czuli specjalną sympatię do dziewczyny za to, że ją uratowali. Poświęcili dużo pracy, aby ją utrzymać przy życiu. Wobec tego Szura stała się ich dziełem, poniekąd ich córką.

– Nie zimno wam? Nie gorąco? – pytali kolejno.

Wasył zaproponował koniak, pilot – puszkę konserw.

„Jacy oni są sympatyczni” – pomyślała Szura. „Poco ja się z nimi kłóciłam?” Lecz na głos powiedziała tylko:

– Dziękuję, czuję się zupełnie dobrze. Jestem trochę osłabiona. I zęby nieco bołą.

Zorin chrząknął w poczuciu winy, przypomniał sobie ołówkę, i zmienił temat rozmowy.

– Chcieliśmy was wieźć do Baku do szpitala, lecz już się ściemniło. Nasze aparaty radiowe są popsute. Nie ryzykowałem lotu, postanowiłem zanoćować.

Szura milczała. Wasył wylał na ognisko trochę benzyny i radosny płomień, liżąc deski rozbitej skrzyni, ciskał ku gwiazdom snopy iskier.

Wszyscy przysunęli się do ogniska, słuchając trzaskania suchych desek. Patrzyli w ogień tak, jak się słucha muzyki, każdy myślał o czymś osobistym, najważniejszym i bolesnym, o czymś czystym i pięknym.

Wasył, nie znosząc milczenia, przerwał uroczystą ciszę opowiadaniem ze swego pełnego przygód życia.



przysunęli się do ogniska.

– Pracowałem przez dwa lata jako palacz. Wesoła robota! Od razu jak odszedłem z kołchozu. Byłem piętnastoletnim chłopcem. Wysłano mnie do zawodowej szkoły zoologicznej. Lecz nie wytrzymałem tam długo: ryby, owady, kości, czaszki – to wszystko martwe sprawy. Poszedłem pracować do fabryki automatów. Ach, jakie tam były maszyny, po prostu obdarzone rozumem. Wstawisz wykres, puścisz w ruch i wychodzi gotowe narzędzie. Strasznie lubiłem rozbierać maszynę na części; w jednej na przykład 12 tysięcy części. Każda ma swój sens i przeznaczenie. Maszyna jest czymś doskonałym. Człowiek jest o wiele mniej doskonały. Na co są choroby, lenistwo albo sen – co dzień 8 godzin straty. Nie, maszyna jest stanowczo mądrzejsza.

– A któż robi te mądre maszyny? – zapytał Zorin.

Pilot był pewny siebie, a wątpliwości Wasyla wydawały mu się dziecinadą.

– Świetnie byłoby wynaleźć taką maszynę, która by poprawiała ludzi! Powiedzmy – na przykład – ja, Wasyl Boczkarow, znam swoje wady. – Zniżył głos, obejrzawszy się na Szurę. – Ile razy zmieniałem zawód. Zabieram się do roboty z zapałem i z zaciekawieniem. Mija pół roku i już zapał gaśnie – ręce opadają. A gdyby można mnie było postawić przed taką maszyną – włączyć tam coś, jakieś lampy, promienie – i powstaje nowy człowiek. Jak wam się zdaje? Czy to się stanie kiedykolwiek?

– Wszystko zależy od człowieka – poważnie powiedział Zorin. – Człowiek może wszystko. Dawniej były bajki – na przykład – o latającym dywanie, a dziś my na nim latamy. Teraz uczeni piszą o podróży na Marsa, o ociepleniu Arktyki. Naszym przodkom nie przychodziło to do głowy, lecz tak będzie. I to, co nam nie przychodzi do głowy, też będzie. Można zdobyć wszystko, tylko trzeba chcieć, ale tak chcieć, żeby nie żał było na to życia. A można zmienić siebie bez wszelkich maszyn. Trzeba tylko samemu chcieć.

– Jesteś szczęśliwy, wiesz, czego chcesz – westchnął Wasyl.

– Na razie uczę się – powiedział Zorin z nieoczekiwaną serdecznością. – Szkoła i dywizja – to wszystko nauka. Przygotowuję się. Już wiele lat obmyślam jeden lot. Będzie potrzebny dla wszystkich, cały kraj będzie czekał mego powrotu.

Szura, słuchała nieuważnie urywków ich rozmów i poruszała drewnianym węgielki, jak gdyby szukała odpowiedzi na swoje pytania. Słyszając ostatnie słowa podniosła głowę.

– Pięknej idei nie wolno zatrzymywać dla siebie. Wujek mówi – zaczęła o swoich sprawach – my, Chitrowo, badamy i sprawdzamy przez

10 lat, my nie mówimy na wiatr. Według mego zdania nie to ważne – my czy nie my, nasz instytut czy inny. Im więcej instytutów się przyłączy, tym szybszy będzie rezultat. Nawet jeśli się mylimy, nasze błędy będą pomostem do ostatecznego zwycięstwa. Ja pierwsza nastawałam, aby nie odkładać do jesieni, lecz od razu pisać na Kreml i prosić o samolot do doświadczeń. Widzicie – nam uwierzono.

– Na Kreml? – lotnicy popatrzyli na Szurę z szacunkiem.

– Tak, na Kreml. A teraz koniecznie trzeba osiągnąć sukces. Ale ja nie rozumiem... Ach tak, przecież wy jeszcze nic nie wiecie.

Przy ognisku, przeskadzając sobie, przeskakując z tematu na temat, łykając słowa Szura opowiedziała swoją historię tym ludziom, których poznała wczoraj i którzy byli z nią w najpoważniejszych chwilach jej życia.

DYNASTIA CHITROWO

Szura pochodziła ze starej rodziny profesorów, którzy przez trzy pokolenia zajmowali katedry na rozmaitych uniwersytetach nad Wołgą. Praplasta rodu – Iwan Archipowicz Chitrowo, ongiś pańszczyźniany chłop, potrafił zdobyć wykształcenie i przy końcu życia ten mocny, energiczny człowiek wykładał historię naturalną na uniwersytecie w Kazaniu.

Lecz na krótko przed śmiercią pozbawiono go katedry za rozpowszechnianie nowych, ateuszowskich prawd.

Początek naukowej działalności jego syna, Piotra Iwanowicza, zbiegł się w czasie ze słynnym nieurodzajem 1891 r. Piotr Iwanowicz strawił całe życie na projektowaniu systemów nawadniających, lecz projekty jego spoczywały w archiwach rozmaitych carskich urzędów. Dopiero z nastaniem władzy radzieckiej projekty te zostały wydobyte z archiwum przy omawianiu planu wielkiej Wołgi i niektóre pomysły Piotra Iwanowicza wykonano, lecz – niestety – już po jego śmierci.

Wuj Szury, Aleksander Piotrowicz, był starszym synem Piotra Iwanowicza. On także pracował całe życie nad problemem walki z suszą. Mieszkał w Saratowie i susza była palącą kwestią dla każdej wioski w okolicy. Po tamtej stronie Wołgi rozpościerały się żyzne pola, dające olbrzymi urodzaj, gdy deszcz padał w porę. W przeciwnym razie wszędzie smutno zwisały suche spalone kłosa. Za stepami, za Wołgą ciągnęły się wzgórza

Syrty, dalej olbrzymia równina Kazachstanu, a za nią piaski i oazy Azji środkowej – miliony kilometrów kwadratowych, które mogłyby być kwitnącym ogrodem, gdyby człowiek dał im wodę. Setki, nawet tysiące radzieckich uczonych walczyło z suszą na południo-wschodzie: jedni, jak akademik Cyncyn, szukali roślin odpornych na suszę; drudzy, podobnie jak Piotr Iwanowicz, projektowali potężne hydrostacje, które dostarczałyby wodę z Wołgi na suche niwy, jeszcze inni, a w ich liczbie Aleksander Piotrowicz, marzyli o tym, aby zmienić sam klimat, wpływać na stan pogody i wywoływać w razie potrzeby deszcz.

Początkowo szedł Aleksander Piotrowicz drogą swych poprzedników. Jak wiadomo, próbowano wywołać sztuczny deszcz strzelaniem z armat, rozsiewaniem naładowanego elektrycznością piasku nad chmurami lub chlorku potasu w wilgotnej atmosferze. Profesor Chitrowo powtórzył te doświadczenia, lecz nie zadowolili go one. Aby wywołać deszcz i rozsiewać piasek, potrzebne były chmury, a tych właśnie nie było za Wołgą podczas suszy.

Jakże tu dostarczyć chmury? – zadawał sobie pytanie profesor. – W tym samym czasie, gdy tu pola są suche, parowanie oceanu tworzy setki tysięcy chmur. Dlaczego nie dostają się one do Saratowa? Tylko dlatego, że nie ma wiatru? Czy nie można stworzyć sztucznego wiatru? Co to właściwie jest wiatr? Jest to ruch powietrza, spowodowany różną gęstością powietrza w rozmaitych miejscowościach. Na przykład podczas suszy, za Wołgą, ciśnienie atmosferyczne jest większe niż nad oceanem. Wiatr wieje na spotkanie wilgoci.

Profesor Chitrowo nie miał oczywiście zamiaru zmienić klimatu nad całymi połaciami ziemi. Aby poruszyć pojedynczą chmurę trzeba skonstruować latający kompresor, który rozrzedzając powietrze przed chmurą i zgęszczając je za nią, pędziłby ją w każdym kierunku.

Inżynierowie odmówili współpracy. Technika nie stworzyła jeszcze takich kolosalnych kompresorów i w ogóle wszystko stawało się tak skomplikowane, że łatwiej byłoby przywieźć wodę na pole autem-cysterną.

Po kilku latach Aleksander Piotrowicz wpadł na pomysł wykorzystania dźwięku. Wszak dźwięk – to też ruch powietrza i kolejne zgęszczenie i rozrzedzenie powietrza. Profesor zaczął marzyć o tym, aby stworzyć taką dźwiękową falę, która mogłaby pędzić chmury.

Wobec tego w Instytucie Gospodarstwa Rolnego zjawily się potworne instrumenty muzyczne. W poszukiwaniu potężnego źródła dźwięku, profesor budował ogromne gwizdki, które tak przeraziły Wasyla; syreny, od dźwięku których pękały szyby w oknach, olbrzymie trąby jerychońskie

i inne instrumenty, których dźwięk znajdował się poza granicami ludzkiego słuchu – infrabasy, bijące powietrzem po twarzy, i ultraflety, parzące skórę i zabijające morskie świnki. Ta niesamowita orkiestra przeniosła się z Instytutu do domowego laboratorium profesora i powoli napełniła wszystkie pokoje cichego domku profesora Chitrowo.

Gdy tylko profesor wracał do domu, zaczynała się nieznośna kakofonia. Mało muzykalna ciocia Szury kładła się do łóżka z mokrym ręcznikiem na głowie i prosiła o powieszenie na drzwiach pierzyny. Jednak i dźwiękowe próby zawiodły. O ile były w ogóle deszczowe chmury – można było deszcz wywołać. To było zupełnie naturalne, gdyż dźwięki orkiestry profesora Chitrowo tworzyły powietrzną falę tak samo jak wystrzały armatnie.

Prace te zbiegły się z rozwojem lotnictwa. W tym czasie zajmowano się szybkościami rzędu szybkości dźwięku. Profesor Chitrowo miał nadzieję, że niedługo lotnictwo stworzy techniczną bazę dla urzeczywistnienia jego idei.

Jego syn – czwarty Chitrowo – Piotr Aleksandrowicz, specjalnie studiował konstrukcję samolotów spodziewając się, że wybuduje maszynę do przewożenia chmur za pomocą dźwięku. Wojna przerwała te prace. W roku 1941 pod Jelnią syn profesora atakował taranem i spłonął razem z faszystowskim samolotem.

Podczas wojny zginęli w Leningradzie rodzice Szury. Ojciec jej, Leontij Piotrowicz, położył także niemałe zasługi w walce z suszą. Przybywszy do Saratowa stała się Szura jedyną ukochaną spadkobierczynią profesorskiej dynastii.

Lecz pomimo namów wuja Szura „zdradziła” tradycję i stała się doktorem fizyki. Może na jej decyzję wpłynęła wspólna z ciotką antypatia do „muzyki” wujka. Lecz mieszkając w jego domu Szura była naturalnie wtajemniczona we wszystkie szczegóły walki z upartymi dźwiękami.

Pewnego razu, było to na wykładzie elektrotechniki, gdy Szura rysowała starannie baterię elektryczną wraz z plusami i minusami, przyszło jej na myśl: „A gdyby tak zastosować elektryczność do poruszania chmur”?

Każda chmura jest naelektryzowana. Aby utworzyły się krople deszczu, kryształki śniegu lub lodu, konieczne są ośrodki krystalizacji, a takimi są małe ładowane elektrycznością drobinki kurzu lub soli, unoszące się w powietrzu, lub po prostu jony (ładowane atomy gazów po-

wietrznych). Nie ma chmur bez ładunków elektrycznych. Wobec tego można je odpychać jednakowym i przyciągać odmiennym ładunkiem.

Szura wykonała prymitywne obliczenie i zdawało się jej, że najnowsze kondensatory są dość mocne, aby poruszać niewielkie chmury. Pewnego razu, przeczuwając radość starego profesora, dziewczyna przedstawiła mu wyniki swych rozważań.

Lecz wujek od razu ją zdeprymował. Momentalnie wykrył błędy zasadnicze: Szura nie wzięła w rachubę zjawiska polaryzacji, dzięki której kropelki, przyciągnięte do kondensatora, tworzą jakby mur nie do przebycia dla następnych kropeł. Tego samego wieczoru dziewczyna spaliła ze łzami swe obliczenia.

Jakiś miesiąc wcale nie myślała o chmurach, lecz potem wydało jej się, że wuj nie ma słuszności...

W uniwersyteckim laboratorium fizycznym Szura przerobiła te doświadczenia z elektryzacją nasyconej pary wodnej, które mogła zrobić sama.

Gdy jednak przyszła do wuja, ten znowu kilkoma słowami zburzył gmach jej marzeń. Pierwszy raz w życiu nie zrozumieli się wzajemnie.

Szura dziwiła się, czemu wuj, zamiast dawać jej dobre rady, jak zwalczać przeszkody, sam je potęguje, namawiając do zaniechania tej pracy. A wuj nie mógł zrozumieć, jak może dziewczynka, lubiąca najbardziej na świecie operę „Dama pikowa” i krem czekoladowy, ośmielać się dawać rady jemu, który dziesiątki lat strawił nad rozwiązaniem tego problemu. I staruszek, starając się być cierpliwym, tłumaczył siostrzenicy, że jest jeszcze uczennicą, a praca naukowa jest sprawą poważną.

„ZBUNTOWANI ELEKTRYCY”

Sprzeciw wuja powstrzymał nieco Szurę, lecz na krótko. Problem opanował ją wszechwładnie – myślała o nim dniem i nocą, studiowała książki i po jakimś czasie znajdowała dowody – rzekomo nie do obalenia.

Wuj niechętnie dyskutował z nią i w końcu Szura zaczęła się zwracać do pomocników i współpracowników starego profesora. Każdy z nich znał Szurę od wielu lat. Niektórzy zainteresowali się tą sprawą. Postanowiono powtórzyć w Instytucie Gospodarstwa Rolnego doświadczenia Szury. Utworzyła się grupa tak zwanych „zbuntowanych elektryków” i po kilku

nadzwyczaj burzliwych posiedzeniach Rady Naukowej profesor Chitrowo z wielką niechęcią musiał się zgodzić, aby obok jego orkiestry stanęły kondensatory i inne przyrządy elektryków.

Najzdolniejszy uczeń Aleksandra Piotrowicza, aspirant Nierubin – nadzieja i przyszły kontynuator pracy – zdradził profesora i stanął na czele grupy. Kilku naukowców – między nimi tacy jak Karpow – którzy kilka lat pracowali nad „orkiestrą” profesora Chitrowo, przyłączyło się do „zbuntowanych”. Poza tym zaproszono spoza Instytutu inżynierów-elektrotechników Glebowa i Kiriuszyna.

Szura pracowała dorywczo. Miała swoje wykłady i egzaminy, więc mogła przychodzić do Instytutu tylko wieczorami lub podczas wakacji. I chociaż problem elektrostatycznego poruszania chmur dotychczas nazywał się w grupie „metodą Szury Chitrowo”, dziewczyna widziała, jak w trakcie pracy rozwiewały się jej pierwotne założenia. Zmieniały się nie tylko techniczne szczegóły, lecz nawet zasadnicze podstawy. Szura na przykład miała zamiar łąpać kondensatorem gotowe już chmury, zaś w laboratorium najlepiej udawały się doświadczenia według zaprojektowanej przez Nierubina metody sztucznego preparowania chmur, przy czym para wodna z powietrza osiadała na uprzednio przygotowanym, naładowanym elektrycznością kurzu lub na kryształkach chlorku potasu. Dlatego też tyle razy mówił Glebow do Szury przy pożegnaniu:

– Największe zaufanie mam do kurzu!

Szura bardzo lubiła przychodzić do Instytutu po długiej przerwie (co zdarzało się podczas egzaminów). Na pierwszy rzut oka nie było widać żadnych zmian: Kiriuszyn ćmiąc fajeczkę liczył coś na linijce logarytmicznej, Glebow krążył po laboratorium i łąpał pracujące kreślarki, Nierubin pochylony w kącie coś sprawdzał zatkawszy uszy; lecz później okazywało się, że każdy ma jakąś niespodziankę dla Szury: Glebow przyniósł z fabryki model doświadczalny, Kiriuszyn wykonał makietkę, Nierubin zrobił nowe doświadczenia i można przeczytać szczegółowy ich opis w dzienniku.

Szura nie miała specjalnych obowiązków. Zwykle pomagała temu, kto był najwięcej zapracowany, robiła doświadczenia, prowadziła protokoły, konstruowała, rachowała i kopiowała wykresy Glebowa.

Gdy Szura przyszła do Instytutu, nie miała jeszcze pojęcia o pracy naukowej. Zdawało jej się, że o ile idea jest słuszna – po jakichś dwóch tygodniach wszystko będzie gotowe. Jednak na słusznej w zasadzie drodze wyłaniały się setki nieoczekiwanych technicznych trudności, właściwie drobniaków, które jednak stawiały pod znakiem zapytania ostateczny rezultat. Nierubin uczył dziewczynę wytrwałości, otwierał przed nią szerokie ho-

ryzonty, uczył umiejętności obejmowania umysłem kilku pokrewnych kwestii naraz. Kiriuszyn zalecał cierpliwość. „Najważniejsze to system” – mawiał stale.

Prawie cały rok pracowała grupa nad skonstruowaniem specjalnych kulistych kondensatorów. Kilka setek tych przyrządów utworzyło sieć elektrostatyczną, którą później holował samolot Zorina. Glebow i dwaj jego towarzysze poświęcili się wyłącznie pracy nad przyrządami do kierowania siecią. Jednocześnie Kiriuszyn zaczął opracowywać elektromagnetyczny przewodnik chmur – coś w rodzaju rurociągu gazowego, po którym chmury płynęłyby bez przerwy, od morskich brzegów – w rejony objęte suszą.

Minął jeszcze rok, zanim na łące za Instytutem wypróbowano sieć elektrostatyczną. Inżynierowie przewieźli strzępki mgły na holu za autem, a potem wywołali deszcz za pomocą naładowanego elektrycznością piasku. W tym czasie stworzono również model przewodnika chmur.

Instytut zanotował pierwsze powodzenie. Było jeszcze dużo niedokładności, inżynierowie chcieli jeszcze popracować, lecz przyroda nie chciała czekać. Już w końcu kwietnia ustaliła się nad Wołgą cudna pogoda, błękit bez chmurki, słońko – tak ślicznie opalające i takie niebezpieczne dla zbóż. Groźnie zbliżała się nieubłagana susza i praca „zbuntowanych elektryków” stawała się coraz bardziej potrzebna. W końcu, po przedyskutowanej nocy, grupa ułożyła depezę na Kreml, składającą się z 224 słów. W tych słowach meldowali o pozytywnych wynikach i prosili o samolot dla zrobienia próby dostarczenia deszczu z Kaspijskiego Morza do Saratowa.

Na poczcie zdumiona telegrafistka popatrzyła na nich wzrokiem, który nie pozostawiał wątpliwości co do jej sądu o treści depezy.

Oczekiwali odpowiedzi za dwa tygodnie, a otrzymali ją już trzeciego dnia. Zapraszano przedstawiciela grupy do Moskwy dla złożenia sprawozdania. Pojechał Nierubin jako najzdolniejszy i najsolidniejszy. Wyjechał 9 maja i zanim otrzymano od niego wiadomości, lotnisko saratowskie oddało do rozporządzenia Instytutu samolot, a na drugi dzień zameldowali się u Szury Zorin i Boczkarow.

Ponieważ na samolocie było tylko jedno miejsce dla naukowca, jednoogłośnie delegowano Szurę.

Wszyscy mieli ochotę lecieć: Glebow – by skontrolować sieć, Kiriuszyn – by badać ruchy chmur. Nierubin przysłał telegram, aby na niego zaczekano, stary Karpow chciał badać zjawiska kondensacji, lecz ostatecznie przeszła kandydatura Szury. Ona pomagała każdemu i orientowała się w pracy wszechstronnie. Zresztą miała najwięcej praw, gdyż zapoczątkowała badania grupy „zbuntowanych elektryków”.

Dalsze perypetie Zorin i Wasyl przeżyli sami.

Znalazłszy na granicy Iranu odpowiednią deszczową chmurę Szura rozpostarła elektrostatyczną sieć, naładowała ją i chciała oderwać część chmury. Wynikło niepowodzenie z niewiadomego powodu. Szura sądziła, że może nie zdążyła naładować sieci do niezbędnego potencjału. Z braku innych chmur Szura chciała zastosować metodę „kurzową”, niezawodną w laboratorium. Według tej metody do powietrza nasyconego wodną parą wprowadzano naelektryzowany kurz i na nim osiadała wilgoć. Szura postanowiła lecieć do Baku po dym, a później nad morze (gdzie jest na pewno dosyć pary wodnej), aby zebrać parę na cząsteczkach dymu. Lecz i ta próba zawiodła i Szura nie wiedziała, co ma teraz robić. Dręczyły ją wątpliwości. Pytała siebie z trwogą, czy nie zrobiła źle, upierając się, że pierwsza polecą? Czy nie skompromitowała siebie i grupy? Czy nie za wcześnie wysłali telegram na Kreml?

Wasyl rozmarzony milczał wpatrując się w gwiazdy.

– Tak – powiedział wreszcie – teraz rozumiem co obiecaliście mojej matce, Jakby to było dobrze zjawić się w kołchozie z deszczem! Najodpowiedniejsza teraz pora!

Zorin długo milczał. Zawsze szczylił się tym, że mówił każdemu prawdę w oczy, lecz teraz długo szukał odpowiednich słów.

– O ile mam być szczery, Aleksandro Leontiewno, nie ucieszyliśmy się z odkomenderowania do waszego Instytutu. Myśleliśmy: polecimy, wykręcimy się jak najprędzej i z powrotem. Trochę w tym waszej winy – trzeba było nas od razu wtajemniczyć. Lecz to rzecz drugorzędna. Ważne, że pierwszy lot został dokonany, chociaż nie uwieńczyło go powodzenie. Sami mówicie – niepowodzenie – to pomost do ostatecznego pozytywnego wyniku. Najważniejsza rzecz obecnie – to wykonanie dużej ilości lotów. Jeżeli chcecie, poprosimy o przedłużenie odkomenderowania i będziemy latać z wami całe lato. Powodzenie przyjdzie na pewno! Tylko trzeba bardzo gorąco pragnąć. A teraz idziemy spać! – zakończył i rozrzucił dopalające się węgle.

DROGOCENNY ŁADUNEK

Pilot i mechanik wstali przed świtem. Jeszcze wczoraj postanowili wyruszyć do wilgotnego rejonu Lenkoranii, aby przybyć w najdogodniejszym czasie, tj. w chwili gdy na ziemi wystygłej przez noc zbiera się rosa. Szura

pokładała w tym wielkie nadzieje, bo większą część doświadczeń w Saratowie dokonywali z nocną mgłą.

Podczas przygotowań do lotu zaczęło świtać. Wczorajsze ciepło ustąpiło porannemu chładowi. Zaczynał wiać wiatr i Zorin postanowił startować natychmiast, obawiając się wielkich fal.

Nie wiadomo czemu samolot długo nie mógł oderwać się od wody. Zorin zdecydował, że to wina dużego oporu fal, ale zaraz po starcie stwierdził, że coś jest nie w porządku.

Maszyna robiła wrażenie ciężko naładowanej i powoli nabierała wysokości. Dopływ paliwa był normalny, a jednak szybkość z trudnością wzrosła zaledwie do 170 km na godzinę.

Czy coś popsuło się w motorach? Lotnik nasłuchiwał. Silniki pracowały prawidłowo. Może coś dostało się do przewodów benzynowych? Lecz przyrządy nie wykazywały tego. W czasie skrętu Zorin zauważył, że ruchy maszyny są jakby zahamowane. Spróbował zawrócić. Samolot wykonał obrót, lecz szybkość nagle zmaląa i pilot z ledwością utrzymał równowagę maszyny. Prędko obudził drzemiącego obok Wasyla.

– Wasia, widocznie ster kierunkowy nawala. Sprawdź linki sterowe, nic nie widzę z powodu mgły.

Wasył, jeszcze drzemiąc, żołnierskim zmysłem usłyszał rozkaz i wykonał go z zamkniętymi prawie oczyma.

Zupełnie nie mógł się połapać w tej mgle. Zorin zrobił nowy wiraż i znowu strzałka wskazująca szybkość zaczęła się zbliżać do zera.

Wasia nagle ryknął na cały głos:

– Towarzyszu poruczniku, chmura siedzi u nas na ogonie... My ją ciągniemy!

Na tle jasnego nieba porucznik zobaczył z boku, tam gdzie powinna była znajdować się sieć elektrostatyczna, niedużą chmurę, dążącą za samolotem.

Mechanik obudził Szurę. Dziewczyna klasnęła w dłonie i znieruchomiała z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma.

– Przecież to chmura – wyszeptała.

Nagle zaczęła wyrzucać błyskawiczne zdania:

– Czy rozumiecie, towarzysze, chmura utworzyła się! Jakaż jestem niemądra! Nie zrozumiałam, że potrzebny był tylko czas i chłód. Podczas nocy osiadła para i oto chmura! Podziwiajcie ją!

Stało się zrozumiałe, dlaczego samolot był tak obciążony: wszak musiał rozpędzić całą masę pary wodnej. Przy skręcie masa ta siłą rozpędu

szła naprzód i ciągnęła za sobą samolot; nie mając steru, nie mogła obrócić się.

Gdy wszyscy napatrzyli się na nowonarodzoną chmurę, Szura powiedziała:

– No, teraz do domu, do Saratowa! Wszystkim pokazemy!

Zorin wykonał ostrożny skręt w kierunku na północ. Na prawo, spoza bazaltowej góry Mangyszłak, wydobywały się promienie słońca. Niebo było blade i przezroczyste jak wczoraj. Wędrowała po nim tylko jedna chmura – ich własna.

Panował radosny nastrój. Cała trójka brała przecież udział w ekspedycji i pragnęła jak najprędzej pokazać wszystkim swój „wynałazek”. Porwali z głębin nieba chmurę i holują ją, przywiązaną mocno przez siły elektrostatyczne. Z radością rozprawiali o tym, co zrobią ze zdobytym skarbem.

– Stanowczo do mojej mamy na wieś! – krzyczał Wasyl. – Przecież obiecaliście! Tak polejemy ziemię, że cały rejon pęknie z zazdrości! Niech się cieszą ze swej kapusty!

– Nie, z początku do Saratowa! Ciekawe, co wuj powie! Oddałabym dziesięć lat życia, aby być przy nim, gdy to zobaczy! Prędzej, towarzyszu poruczniku!

– A może od razu do Moskwy? – proponował Wasyl. – Może tam pokazemy naszą sztukę! Chociaż deszcz w Moskwie to nic nadzwyczajnego.

Droga powrotna dłużyła się niepomiarownie. Szura wczoraj dziwiła się, że morze jest takie małe. A dzisiaj ta szarozielona równina ciągnie się bez końca, wystawiając na próbę jej cierpliwość.

Nareszcie o 8 rano ukazały się piaszczyste wysepki. Saratów znajdował się o 500–600 km stąd.

– Wyobraźcie sobie – mówiła Szura do Wasyla – te same brzegi za kilka lat. Wszak powinien być tutaj klimat morski. Lecz chmury, powstałe nad Morzem Kaspijskim, nie wiadomo, gdzie się podziewają. Słońca tu dużo, a gdy dodamy wody – trzy deszcze w porę, 20 centymetrów opadów – powstaną cudowne plantacje bawełny. Wszystko wokół zazieleni się. Obecnie słońce wyparowuje na morzu metr wody w ciągu roku. Każdy hektar morza daje tyle wody, że można nią obrócić w kwitnące pola 5 ha wybrzeża. Nawet samoloty zbyt ciężkie – marzyła Szura. – W każdym kołchozie będzie jeden kuter albo „stacja maszyno-deszczowa” na brzegu. Wieczorem kuter wypłynie na morze z kurzem, zarzuci sieć elektrostatyczną, a z rana – proszę bardzo: polewanie bawełny w kołchozie.

Pod samolotem rozciągała się jednostajna płaszczyzna. Słońce stało wysoko. Cień samolotu padał na pagórki, łamał się na zboczach, a za nim dążył podłużny cień chmury.

Co chwila Szura przypominała sobie, że do Saratowa jeszcze kilka godzin, i prosiła Zorina:

– Towarzyszu poruczniku, czyż nie można przędzej? Gdzie jesteśmy teraz?

Lotnikowi było samemu pilno dostarczyć chmurę do miejsca przeznaczenia. Lecąc po linii prostej, doprowadził szybkość do 210 km na godzinę. Był bardzo zadowolony, lecz wkrótce zaświtało mu w głowie niemiłe podejrzenie. Jakiś czas oglądał chmurę w lustrze i nagle zwrócił się do Szury:

– Patrzcie – chmura rozwiewa się! Widać teraz kondensatory, a dawniej tego nie było.

Szura gawędząca wesoło z Wasylem zamilkła w połowie zdania.

– Rzeczywiście maleje – rzekła ledwo dosłyszalnym głosem.

Wasył chciał ją pocieszyć.

– Ależ nie! Chyba dociągniemy, towarzyszu poruczniku?

Zorin namyślał się długo, wreszcie rzekł:

– Szybkość wzrosła półtorakrotnie, a to znaczy, że chmura zmalała do połowy i maleje ciągle. Do Saratowa jeszcze dwie godziny. Pewno nie zdążymy. Jaki może być powód? Powiedzcie, Szuro!

– Słońce, suche powietrze – wyszeptwała ze smutkiem, patrząc na malejącą chmurę.

Spoglądała na wszystkich z wyrzutem. Jej radosne podniecenie znikło, a zapanowała trwoga. „Co tu robić“? – myślał każdy.

– Może wznieść się wyżej? – zaproponował Zorin. – Tam powietrze zimniejsze.

Szura zaprzeczyła.

– Zimniejsze, ale też bardziej suche. Drogi poruczniku, lećcie przędzej ku Wołdze, tam powietrze jest wilgotne, więc może nie będzie nadal malała.

Zorin nadzwyczaj łatwo wykonał skręt i ta łatwość świadczyła o dalszym parowaniu chmury.

Szura ze wzrastającym niepokojem wpatrywała się w coraz wyraźniej zarysowujące się kondensatory, przedtem zasłonięte nieprzeniknącą mgłą.

– Przędzej, przędzej, towarzyszu poruczniku!

Zorin pędził jak na złamanie karku.

Chmura rozwiewała się nadal.

– Drugi rząd balonów widać... trzeci... – nieomal z płaczem szeptała Szura.

Szura często miewała taki sen: niby to niesie na pole ciężką, wilgotną chmurę przyciskając ją mocno do piersi. Zeschnięte kłosa żałośnie błagają: „Daj nam pić!”. Lecz gdy tylko Szura chciała wycisnąć deszcz z chmury, ta zniknęła pomiędzy palcami, światło dzienne raziło oczy i Szura budziła się. Teraz przeżywała ten przykry sen na jawie.

– Proszę jak najprędzej, towarzyszu poruczniku!

Brzegi chmury stawały się coraz bardziej przezroczyste, widać było przez nie nawet najdalsze kondensatory.

– Czyż nie można choć troszkę prędzej?

Zorin już przedtem wycisnął z samolotu maksymalną szybkość. Wołga była jeszcze daleko, lecz każde słone jezioro wydawało mu się lśniąca wstęgą rzeki. Step ciągnął się szary i płaski. Potężny masyw jedynej góry sterczał samotnie ku niebu.

To wielki Bogdo – rzekł Wasyl poznając charakterystyczny zarys góry, podobny do garbu wielbłąda. – Tu obok – Baskunczak. Patrzcie – oto jezioro! – mechanik wskazał błyszczące słone jezioro. – Pracowałem tutaj, gdy jeszcze nie byłem palaczem.

Lecz nikt nie interesował się jego wspomnieniami i Wasyl zamilkł.

Szura bez przerwy spoglądała na topniejącą chmurę, prawie już przezroczystą; tylko w środku widać było szarozółte jądro.

– Nie zdążymy – mówiła dziewczyna. – Trzeba będzie znowu wracać nad morze. I znowu pewno nie przywieziemy.

Samolot zrównał się z wierzchołkiem góry; strzępki chmury zaczepiły o strome zbocza. Maszyna unosiła się ponad linią drogi, zbudowanej kiedyś dla transportu soli z tego słynnego jeziora, które posiada zapasy dla całego Związku Radzieckiego na tysiące lat. Wołga była prawie obok. Lewy jej dopływ Achtuba wił się na horyzoncie jak błękitna wstęga. Porucznik zamierzał wodować i wykonał skręt nad drewnianą przystanią, gdzie rzędem stały ciężkie barki ze solą. Zaledwie dziesiąta część chmury pozostała na holowniku.

Samolot unosił się nad fantastycznymi zakrętami rzeki. Na lewo mięgały niezliczone wyspy z soczystą zielenią i pstrą trzcina.

Porucznik nie spuszczał wzroku ze wskaźnika szybkości. Szura ze smutkiem kiwała głową, myśląc: „Za późno! Wszystko daremne!”

Jak zwykle przyrząd był dokładniejszy niż oko. Szura nic nie zauważyła, a już szybkość zaczęła się zmniejszać, co wskazywało na zwiększoną wagę chmury.

Po pół godzinie nabrano pewności: chmura nie tylko przestała topnieć, lecz zaczęła w nią wsiąkać wilgoć z Wołgi.

Gdy ukazał się wysoki amfiteatralny brzeg i białe sylwety budynków stalingradzkich, szybkość samolotu doszła do 240 km na godzinę, a chmura stała się znów gęsta i ciemna.

Zorin wyprowadził maszynę na północ od Stalingradu, tam gdzie gigantyczne miasto, ciągnące się 50 km wzdłuż brzegu Wołgi, kończy się Metalogrodem. Szeroka lśniąca smuga wody biegła do horyzontu jak asfaltowa droga. Na lewo wznosiły się strome urwiska, poprzecinane wąwozami. Na prawo ciągnęła się błękitna płaska równina.

220... 210... 200... – strzałka szybkościomierza stale opadała. 190... 180... matowa mgła zasłaniała kondensatory. Rozweselona Szura zaczęła tworzyć ponętne plany lotu nad Saratowem. Nad Kamyszynem chmura na hoku za samolotem była znacznie większa niż nad morzem.

– Kiedyż nareszcie będzie Saratów? – denerwowała się Szura.

Pod samolotem przepływają znane miejscowości. Wśród krzaków białe namioty. Tu Szura była w obozie pionierskim. Teraz ukazuje się słynna skała Stienki Razina. „Do Saratowa jeszcze 170 km” myślała ze zgrozą Szura.

Zorin także myślał z trwogą o tych 170 km. Wszak, jeżeli tak dalej pójdzie, opór chmury zmniejszy szybkość samolotu poniżej minimalnej i zmusi do lądowania.

150... 140 km! Zorin całym ciałem odczuwał ciężar chmury. Na każdym skręcie samolot groźnie tracił szybkość.

W pobliżu dużej wioski lotnik zawołał na Szurę:

– Proszę wybrać jakiś sad, będziemy podlewać!

– Co się stało? Teraz już tylko 100 km. Lećcie dalej! – błagała Szura.

Lecz było to już niepodobieństwem. Chmura wprost przyciskała samolot do wody.

Obrawszy miejsce, gdzie brzeg był niski, pilot zrobił łagodny skręt i wyszedł nad step.

– Trzymajcie się! – zawołał Zorin. – Lecę nad lądem, aby chmura nie rosła. W ostateczności część jej zrzucimy. Nie wkładajcie spadochronów, jesteśmy zbyt nisko! No, ryzykujemy, towarzysze. Chodź, Wasia, szukaj swej wioski! Poznasz ją z góry?



Chmura wprost przyciskała samolot do wody....

KONCERT NAD CZERWONYM JAREM

Tego samego dnia z rana przyjechał do Saratowa profesor Akademii Gospodarstwa Rolnego – Feofilaktow, aby skontrolować dotychczasowe doświadczenia. Był to ruchliwy zasuszony staruszek, tak opalony, że wyglądał jak uwędzony.

On i profesor Chitrowo studiowali na jednym uniwersytecie. I chociaż w tamtych czasach nie obcowali ze sobą, teraz witali się jak para dawnych przyjaciół i siedzieli w gabinecie profesora Chitrowo rozkoszując się bez końca wspomnieniami młodości.

– Czy pamiętacie „Cara Fiedora”, gdy Stanisławski był jeszcze młody? – pytał Chitrowo.

– Czy pamiętacie dzień imienin Tatiany, gdyśmy z gitarami... – powiedział Feofilaktow. – I tę piękną śpiewaczkę o czarnych oczach... Jak jej było na imię? Wyobraźcie sobie, spotykałem ją w zeszłym roku... W podeszłym wieku kobieta...

– Pamiętacie profesora Timiriaziewa? Cztery razy zdawałem u niego egzamin. Powiedział mi w końcu: „Pan jest wybitnym studentem. W przeciągu czterdziestu lat nie słyszałem tak idiotycznych odpowiedzi”.

Jak to przyjemnie mówić o tych sprawach! Kilka razy gość zaczynał pytać o wyniki pracy grupy Nierubina, lecz Chitrowo zrećnie zmieniał temat rozmowy. Jego sytuacja była drażliwa: nie mógł chwalić pracy, do której nie miał zaufania a uważał za niestosowne wydawać zaoczny, nieprzychylny sąd.

– Gdy wróci siostrzenica, poinformuję pana dokładnie – wykręcał się staruszek i znowu wracał do miłych wspomnień.

– Ach, więc to pana siostrzenica? – zdziwił się gość. – Jakież to czasy nastały! Jaja mądrzejsze od kur! Kiedyż to my zdążyliśmy się tak zestarzeć? Jeszcze wczoraj walczyliśmy przeciwko innym autorytetom -- a teraz młodzież przeciwstawia się naszemu autorytetowi.

Chitrowo uśmiechał się z przymusem, słysząc te żarty Feofilaktowa.

„Wolne żarty – myślał Chitrowo. – A może faktycznie zestarzałem się... Mnie się wydaje, że to ostrożność, a młodzież widzi w tym zacofanie. Ja mówię „doświadczenie”, a młodzi mówią: „zmurszałe przesady”. Ciężko samego siebie sądzić, inni robią to lepiej. Czyżby oni mieli słuszność? Nie, niemożliwe”. I staruszek profesor bębnił nerwowo w szybę.

Z okien Instytutu roztaczał się cudowny widok na zadrzewione ulice miasta, na Wołgę, lśniącą jak roztopiony metal, na panoramę dalekich bładofioletowych pagórków. Błękitne niebo dyszało żarem.

– Cóż to takiego? – zainteresował się Feofilaktow. – Bodaj że deszcz.

Staruszek zauważył na horyzoncie szarą chmurę i pasmo mgły za nią.

– Skąd deszcz? Niemożliwe!

Parę chwil profesorowie wpatrywali się w szybko zwiększającą się chmurę. Na korytarzu słychać było podniecone głosy, a potem pospieszne kroki. Gwałtownie szarpnięte drzwi otworzono, zajrzała młoda dziewczyna i zawołała:

-- Aleksandrze Piotrowiczu, prędej! Szura!

Widać było przez okno, jak biegli ku Wołdze. Na przedzie – dziewczęta-laborantki, za nimi powoli szli naukowcy współpracownicy, za nimi z tyłu – dozorca Archipycz. Jego surdut z galonami dodawał mu uroczystości i powagi, która nie opuszczała go nawet w nadzwyczajnych okolicznościach.

Feofilaktow, nie pytając gospodarza, z niezwykłą szybkością stoczył się ze schodów. Chitrowo stał chwilę niezdecydowany i w końcu też opuścił gabinet.

Na brzegu ujrzano szarą obfitą chmurę, pędzącą nad rzeką z niesamowitą szybkością.

Ukazał się samolot nie lecący nad wodą, lecz płynący po wodzie jak ślizgowiec. Biały parowiec płynął majestatycznie na spotkanie. Hydroplan zahuszał się na fali, kondensatory przesunęły się nad parowcem i biała para jego syreny połączyła się z chmurą.

Zbliżając się do góry Sokołowej, samolot wyłączył silnik. Kondensatory utworzyły zamknięty obwód wokół chmury. Ta znalazła się nad samolotem i siłą rozpędu obróciła go.

– Co oni robią? – rozległy się głosy. – Po cóż deszcz nad rzeką?

– Zuchy! – krzyczeli inni. – Hura! Zwycięstwo!

– Starzejemy się! Jaja mądrzejsze od kury! – zachwycił się Feofilaktow wypatrując profesora Chitrowo.

A tamten, stojąc z tyłu, sapał ze zmęczenia i przyciskał ręką serce.

– Co się dzieje? Ja nic nie widzę! – skarżył się.

Dziewczęta-laborantki ujęły go pod ręce:

– Aleksandrze Piotrowiczu, proszę iść z nami. Wsiadamy zaraz do łódki. Idziemy na spotkanie Szury.

Oto już łódka przy samolocie; Szura zażenowana wyciąga do wszystkich ręce, broni się od pocałunków i gorących powitań, chce coś powiedzieć, lecz nie słychać jej głosu.

Stary profesor miał poczucie bezbrzeżnego szczęścia. Od razu zostały zapomniane małostkowe nieporozumienia. Idea zwyciężyła. Powodzenie uwieńczyło prace rodu Chitrowo, dziesiątków instytutów, tysięcy uczonych. Jego uczniowie, jego własna siostrzenica rozwiązała problem. To szczęście profesora było o wiele promienniejsze, niż gdyby sam został triumfator. Z trudnością staruszek przecisnął się przez tłum.

– No, siostrzeniczko, uściskajmy się!

Nagle Szura powiedziała łzawym głosem:

– Cóż wy wszyscy wieszujecie mi? Wszak nic się nie udało! Daremne wysiłki!

Tłum zamilkł. Twarze i oczy spoważniały.

– Wszystko na próżno – deszczu nie ma. Gdy wyłączamy sieć – chmura topnieje; włączamy, sypiemy piasek – deszcz nie pada. Tak mężczyliśmy się – bez rezultatu. Ogromnie przykro! Od Morza Kaspijskiego wieźliśmy.

Poważnie wysłuchawszy słów Szury staruszek z uporem potrząsnął głową.

– Wszystko jedno, uściskajmy się!

Głos jego był tak dobrotliwy, jak gdyby mówił do dziecka: „O co chodzi, dziecino! Nie możesz zrobić zadania? Zaraz ci pomogę!” Lecz w tej sekundzie znikł dobroduszny wujaszek. Kierownik instytutu władczo podniósł głos:

– Towarzysze, proszę zaraz przynieść z mego laboratorium orkiestrę nr 17. Dziewczęta, nieście tu infrabasy! Prędko! Kłusem! Szura, wołaj swój samolot.

Energicznie natarł profesor na Zorina:

– Towarzyszu, proszę zdjąć wszystko zbyteczne; niech będzie jak najwięcej wolnego miejsca. Zaczynamy ładować.

Lotnik pytająco spojrział na Szurę. Dziewczyna, zaczynająca pojmo- wać, skinęła potakująco.

Tymczasem z góry pędziły laborantki niosąc dwumetrowe gwizdki, flety, podobne do belek, nadzwyczajnie wygięte trąby. Na przedzie sunął Archipycz. Biedak zapomniał o swej powadze tocząc z góry olbrzymi bęben.

Wasył, pomimo gorącego protestu, jako „zbyteczny” został na brzegu. Nawet Szura musiała ustąpić i zrobić miejsce wujowi i jego nadzwyczajnej orkiestrze.



... nieśli wielkie instrumenty...

Nie wiadomo po raz który Zorin holował chmurę. Znowu mignęła błękitna wstęga rzeki, dalej za Wołgą -- zielone łąki, potem szachownica uprawnych pól, a wreszcie szary, suchy step.

I oto Czerwony Jar – rodzinna wioska Wasyla, rozpostarta wzdłuż drogi stepowej: czerwone dachy domków, szare od suszy ogrody, stodoły, chlewiki, obory. Przy wjeździe do wioski – olbrzymie wieże silosów, rzędy wielkich stogów siana; w środku – budynek Klubu; na pagórkach – pstre plamy pasącej się trzody i traktory, jak czarne bąki.

Wybrawszy pole Zorin zaczął krążyć powoli nad nim. Jediną ulicą pędziły dzieciaki. Cała wieś biegła na spotkanie samolotu, który widocznie zapalił się w powietrzu. Profesor otworzył włązy i wystawił swoje przyrządy. Najpierw rozległ się przeraźliwy gwizd. Potęgując się w nieskończoność stał się rykiem wyjącej syreny. Później zostały włączone inne instrumenty orkiestry dętej. Wreszcie wyłączono gwizdki i trąby: pozostał tylko pisk, jakby kolosalnego komara, i jakieś dziwne sapanie olbrzyma, którego dusił kaszel.

Zorin manewrował samolotem zwracając uwagę na to, by nie zmienić kierunku i aby chmura znajdowała się wciąż nad tym samym polem. Gdy rozległy się ostatnie chrapliwe tony niesamowitej orkiestry, chmura wrząca i dzieląca się na strzępy, jakby smagnięta niewidzialną falą dźwięków, rozszczepiła się nagle – i lunął rześisty deszcz.

Ludzie uciekali pędem do swych chat; jasnokasztanowa, zeschnięta gleba w jednej chwili stała się czarna i wilgotna.

Uszczęśliwiony profesor, zarumieniony z podniecenia wrzasnął do samego ucha Zorina:

– I my starzy przydaliśmy się na coś. Proszę, przyjacielu, trochę na lewo, podlejemy jeszcze ten kawałek pola za wioską.

PO CZTERECH TYGODNIACH

Po referacie Nierubina dopuszczono Szurę do głosu.

Rozłożywszy przed sobą tezy, dziewczyna obrzuciła wzrokiem całe audytorium.

Na honorowym miejscu siedział minister. Był to łysawy, starszy człowiek. Zdawał się nie zwracać na nikogo uwagi, tylko kreślił coś ołówkiem w notesie. Dalej, przez całą długość stołu przykrytego czerwonym suknem



... ludzie uciekali pędem...

siedzieli sztywno poważni profesorowie. Wszyscy oni, w przeciwieństwie do ministra, patrzyli z uporem w twarz dziewczyny – jak jej się zdawało – wzrokiem surowym, nieprzychylnym. Niektórzy nawet uśmiechali się, ale tak jakoś ironicznie i jakby z obietnicą ujemnej oceny jej pracy. Nierubin, zwykle taki pewny siebie i odważny, teraz był zgaszony i niepewny. Robił wrażenie chłopca, który przypadkowo dostał się w towarzystwo starszych i nie wie, jak się zeń wydostać. Nawet wuj miał minę niewyraźną.

Wreszcie podniosła się Szura, otworzyła usta, by zaczerpnąć powietrza, przełknęła ślinę i nie wyrzekła ani słowa. Z przerażeniem skonstatowała, że nie potrafi nic powiedzieć, że wszystko uleciało gdzieś z pamięci. Obrzuciła żalonym wzrokiem zebranych i wreszcie zatrzymała spojrzenie na sympatycznym brodatym staruszką. Ten, jakby odgadując stan wewnętrzny dziewczyny, uśmiechnął się do niej życzliwie i nieznacznie wskazał palcem na leżące przed nią notatki. Szura, jakby obudzona ze snu, wzięła tezy do ręki i jednym tchem przeczytała pierwsze zdanie: „Na polecenie grupy Saratowskiego Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego imienia profesora Chitrowo – wyleciałam dnia 18 maja o godzinie 6 rano ..”

I to pierwsze zdanie jakby rozwiązało jej usta. Słowa płynęły gładko jak fala. Może nieco zbyt szybko, lecz przecież tyle miała do powiedzenia!... Przez cały czas swego przemówienia nie spuszczała oczu z miłego brodatego staruszka, który również patrzył na nią uśmiechając się spokojnie i zachęcająco.

Kiedy wreszcie skończyła, okazało się, że jeszcze nie wykorzystwała całkowicie przeznaczonego dla niej czasu, bo pozostały całe dwie minuty. Siadła i w tejże chwili poczuła pod stołem mocny uścisk ręki. To wuj w ten sposób okazywał swą aprobatę i uznanie.

Po niej przemawiał Feofilaktow, potem jeszcze ktoś inny. Szurka nie słyszała i nie rozumiała nic, zajęta swymi myślami.

Na zakończenie wstał ze swego miejsca minister. Był to człowiek wysoki, okazały, barczysty. Stał, powiódł wzrokiem po zebranych i uderzywszy w stół ołówkiem dla zwrócenia na siebie uwagi, rozpoczął:

– Zapisałem sobie kilka cyfr, które chciałbym następnie z wami uzgodnić. Profesor Feofilaktow zaznaczył, że w bieżącym roku wobec długotrwałej suszy prawie 65% o ziemi ornej w Związku Radzieckim wymaga sztucznego nawodnienia.

W ciągu ostatnich lat uciekaliśmy się do najrozmaitszych środków, aby zapobiec suszy – zakładaliśmy zapory przeciwnieźne, ochronne zalesienia, 22 miliony hektarów nawodniliśmy sztucznie, 8 milionów hekta-

rów zaopatrzyliśmy deszczowymi kombajnami. Jednak mimo tego pozostało jeszcze około 12 milionów hektarów niezaopatrzonych niczym. Musimy sobie zdać sprawę, iż stanowi to dla nas utratę około 16 miliardów kilogramów zboża...

Brodaty staruszek napisał w swoim notesie wyraźną cyfrę 16, a obok 9 zer i obwiodł tę cyfrę czerwonym ołówkiem.

– A jeśli przyjmiemy projekt towarzyszki Chitrowo i pójdziemy za jej wskazówkami? – zapytał minister z oczami utkwionymi w Feofilaktowa.

– Owszem – odpowiedział profesor – ale jeśli nawet przyjmiemy metodę Chitrowo, może ona dać rezultaty jedynie przy masowym zastosowaniu. Przewóz samolotami – to chałupnictwo. Trzeba uruchomić Zjednoczenie Przemysłu Deszczowego. Towarzysz Nierubin mówił nam o deszczowych przewodach. Jest to rzecz realna, ale na to trzeba nie mniej niż rok czasu.

Minister usiadł.

– Most na Dnieprze – powiedział po chwili – trzeba budować dwa lata. Kiedyś w 1943 roku forsowali rzekę, saperzy rzucili prowizoryczny most w ciągu czterech dni. Dla nas obecnie najważniejszym problemem jest urodzaj. Uważam, iż powinniśmy uruchomić tymczasowe Zjednoczenie w ciągu czterech tygodni. Rzucimy na ten cel ile tylko trzeba dywizji lotniczych, bataliony saperów. Kołchozy znajdujące się na terenie objętym suszą same wydzielą połowę swych ludzi. Damy do waszego rozporządzenia na okres miesiąca cztery fabryki elektryczne i elektrownie. Jednym słowem, żądajcie wszystkiego, co wam potrzebne, byleby w ciągu czterech tygodni, to jest do pierwszego lipca szły nad Wołgę i północny Kaukaz dostawy chmur deszczowych.

DYPLOMACJA

Wieczorem 10 czerwca radio radzieckie nadało komunikat, że „niebiańskie wieloryby”, które wzbudziły zainteresowanie całego świata, są w rzeczywistości sztucznymi chmurami, transportowanymi według metody Chitrowo za pomocą kondensatorów.

Komunikat wyjaśniał dalej, że władze radzieckie mają zamiar zwiększyć produkcję chmur nad Bałtykiem, co nie zagraża żadnym niebezpie-

czeństwem mieszkańcom ziem nadbałtyckich. Należy jedynie unikać bezpośredniego zetknięcia z sieciami elektrostatycznymi.

Przejdzie karawany chmur przez duńskie zatoki jest spodziewane również w przyszłości, o ile ze względu na pogodę trzeba będzie przenieść fabrykowanie chmur na Ocean Atlantycki.

Następnego dnia poseł Zachodniego Państwa wręczył w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Moskwie notę swego rządu treści następującej:

„Do Jego Ekscelencji Pana Ministra Spraw Zagranicznych Związku Radzieckiego.

Panie Ministrze!

Rząd Jego Wysokości Króla Zachodniego Państwa polecił mi podać do wiadomości Waszej Ekscelencji, że ogłoszenie o mającym się odbyć masowym przelocie samolotów radzieckich nad morzami zachodnimi pod pretekstem przemysłowego fabrykowania chmur wywołało niepokój u narodów Państwa Zachodniego.

Rząd Jego Wysokości kategorycznie protestuje przeciw naruszeniu suwerenności naszego terytorium. Dym i pył unoszący się nad morzem, który zgodnie z komunikatem radiowym z dnia 10 VI br. jest nieodzowny dla skondensowania chmur, pochodzi z ziemi oraz węgla Państwa Zachodniego, a więc tym samym jest bezwzględną tego Państwa własnością.

Rząd Jego Wysokości żąda, aby do czasu uzgodnienia taryf na wywóz pyłu i dymu z Państwa Zachodniego samoloty radzieckie bezzwłocznie zaprzestały łowienia chmur, a dym, pył, popiół i miął węglowy, zagrabione dotychczas bezprawnie, były bezwzględnie zwrócone, dalsze zaś przeloty samolotów radzieckich wstrzymane.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku

Podpis“

W odpowiedzi na powyższą notę Państwa Zachodniego Związek Radziecki przesłał notę tej treści:

„Do Pana Ministra Spraw Zagranicznych Jego Wysokości Króla Państwa Zachodniego.

Sir!

Rząd Radziecki wyrażając zdziwienie z powodu nadesłanej noty z dnia 11 VI br. polecił mi nadmienić, że w myśl Prawa Międzynarodowego, poza granicą nadbrzeżnego pasa – morze jest własnością niczyją i obywatele każdego państwa mają prawo swobodnego korzystania z jego bogactw.

Od niepamiętnych czasów wiatry, chmury, nasiona roślin morskich, ryby, zwierzęta i ptaki przechodzą swobodnie granice wszystkich państw i nigdy żadnych cel granicznych nie płacą. Etiopia nie bierze od Egiptu opłat za płodnorodny ilt, który Nil Błękitny zmywa z brzegów i wynosi z jej granic.

Wobec powyższego, rząd radziecki nie poczuwa się do obowiązku zawierania celno-taryfowego układu z powodu wywozu pary wodnej, unoszącej się nad Atlantykiem, nie należącym do Państwa Zachodniego.

Jeśli jednak Państwo Zachodnie uważa się za właściciela wszelkich zjawisk przyrody nad terytoriami Państwa Zachodniego, wówczas rząd radziecki zażąda odszkodowań za poniesione straty z powodu nadmiernych opadów deszczowych w roku ubiegłym, za zatopienie okrętu „Murmańsk” przez wielki cyklon zachodni, za straty spowodowane przez szarańczę gnieżdżącą się na terytoriach zachodnich kolonii oraz za epidemię cholery, która przedostała się przez granicę radziecką.

*Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku
Podpis”*

28 czerwca o godzinie 14 dowódca pułku zwołał w sztabie odprawę wszystkich oficerów i podał im do wiadomości, że dywizja otrzymała do wykonania specjalne zadanie.

– Pierwszy rzut, w skład którego wejdą dwie eskadry, startuje jutro o świcie.

W dywizji zapanowała radość.

Oficerowie armii czynnej cieszą się zwykle z wszelkiego rodzaju przenosin. Całej dywizji dokuczył postój wśród nagich stepów. Radość nie opuszczała ich aż do świtu. W radosnym nastroju zrywali ze ścian fotografie, niszczyli niepotrzebne listy i notatki. Wiedzieli, że jeden rozdział ich życia kończy się, a zaczyna nowy.

Nikt nie wiedział dokąd i po co lecą. Moskwiczenie twierdzili, że do Moskwy, leningradczycy, że do Leningradu, miłośnicy słońca, że na Kaukaz, a miłośnicy dalekich lotów, że pewnie gdzieś aż do Jakucka.

Pierwszy rzut, w którym był również samolot Zorina, nocował w Char-kowie, stamtąd wzięli kierunek na zachód przez Bachmacz – Homel – Mińsk i po obiedzie 30 czerwca znaleźli się nad republiką Litewską.

Ziemia pod samolotami różniła się bardzo od żółtobrazowej płaszczyny, nad którą latał Zorin w szkole, w dywizji, a nawet w czasie lotu z Szurką. Była mozaiką drobnych zagajników, kawałków świeżo zoranych pól i całej masy niewielkich jezior, które z góry wyglądały jak odłamki rozbitego lustra.

Okolo 200 km przed granicą, naprzeciw eskadry wyleciał samolot z jaskrawoczerwonymi skrzydłami. Nie doleciawszy do wiodącej maszyny wykonał skręt, stanął na czele pułku, podając przez radio rozkaz: „Lećcie za mną!”

Wkrótce Zorin zrozumiał ten manewr, gdy zobaczył, że wokół nich, ze wszystkich stron sunęły całe eskadry ciężkich bombowców, szybkich szturmowców i ostronosych odrzutowych myśliwców.

Cała kopuła nieba wypełniona była do horyzontu setkami maszyn i potężnym rykiem silników. Zdawało się, że gdzieś za horyzontem leży olbrzymi magnes ciągnący ku sobie korowód maszyn, które chcąc nie chcąc suną ociężale z pomrukiem sprzeciwu ze wschodu na zachód. Nie spodziewanie wynurzyło się pod nimi morze – gładka błękitna tafla, okolona koronką przyływu, tak bardzo różna od ponurego Morza Kaspijskiego.

Wasył, który siedział obok Zorina, nagle schwycił go za ramię:

– Popatrzcie, towarzyszu poruczniku, czy to nie sieci Szury tam stoją?

Lotnik obejrzał się. Rzeczywiście. Nieco z boku, okolo trzech kilometrów od brzegu, świecąc kolorowymi balonami, kołysały się olbrzymie sieci elektrostatyczne. Nieprzeliczone szeregi ciągnęły się na kilka kilometrów wzdłuż i wszerz. Po rogach zajętego przez sieci obszaru wznosiły się pływające boje, a wokół nich krążyły kutry, wlokące za sobą puste sieci z ciemnym dymkiem naelektryzowanego kurzu.

Jeden z samolotów przed chwilą wodował i natychmiast poczęły doń się zbliżać małe łódeczki. W oddali stał statek towarowy.

W ciągu następnych pięciu minut Wasył naliczył dwanaście magazynów elektrostatycznych sieci, po sto czterdzieści cztery sieci w każdym. Następnie zauważył, że dalej od brzegu widać drugi taki rząd, a za nim, na samym horyzoncie – trzeci. Wtedy machnął ręką i przestał liczyć.

– Tak, tu, jak widzę, cała fabryka – powiedział. – A może i nas tu skierowali, by „fabrykować” chmury. Co wy na to, towarzyszu poruczniku?

Ale Zorin nie miał czasu na odpowiedź. Czerwony samolot na przedzie, machnąwszy skrzydłami, poszedł do lądowania na przesmyku między morzem a zatoką.

Wiodąca maszyna podążyła za nim...

Nazajutrz wczesnym rankiem wszystkich przybyłych lotników przewieziono kutrami przez zatokę i umieszczono na szerokiej polanie na krańcu małego miasteczka.



... nieśli wielkie instrumenty...

Obok nich, jak podczas defilady, stali inni lotnicy, dalej piechota, saperzy, marynarze i ludność cywilna.

Wszyscy ze skupieniem przyglądali się dziwacznej budowli – dwóm gigantycznym, ażurowym masztom. Między masztami siedemdziesięciometrowej wysokości stał szereg metalowych budek. Na wierzchołkach kręciły się skrzydła silników wiatrowych.

Obok pierwszych masztów stały następne, cokolwiek niższe, a potem jeszcze jedna para i tak dalej, i dalej.

Każda para była niższa od poprzedniej, maszty stały bliżej siebie, a pary dzieliła większa odległość. Maszty okalały całe miasto, niby olbrzymi wąż, i wreszcie ginęły za horyzontem.

U podnóża jednego z masztów ustawiona była niewielka trybuna, na której przemawiali coraz to nowi mówcy, lecz wiatr unosił ich słowa i Zorin nic nie słyszał.

Po pewnym czasie na trybunę wszedł mówca o tak doniosłym głosie i wyraźnej dykcji, że słyszać było każde niemal słowo.

– Witam was, towarzysze budowniczo i robotnicy pierwszego Zjednoczenia Przemysłu Deszczowego. W ciągu zaledwie półtora miesiąca prace nad wytworzeniem sztucznego klimatu wyszły ze ścian laboratorium i stały się rzeczą realną. Miesiąc upłynął od chwili, gdy radziecka uczona, Aleksandra Chitrowo, po raz pierwszy przywiozła chmurę z Morza Kaspijskiego. Wśród nas jest załoga jej samolotu – pierwsi łowcy chmur – porucznik Wadim Zorin i sierżant Wasyl Boczkarow...

„Jest o czym mówić” – pomyślał Zorin i równocześnie usłyszał za sobą szept Boczkarowa:

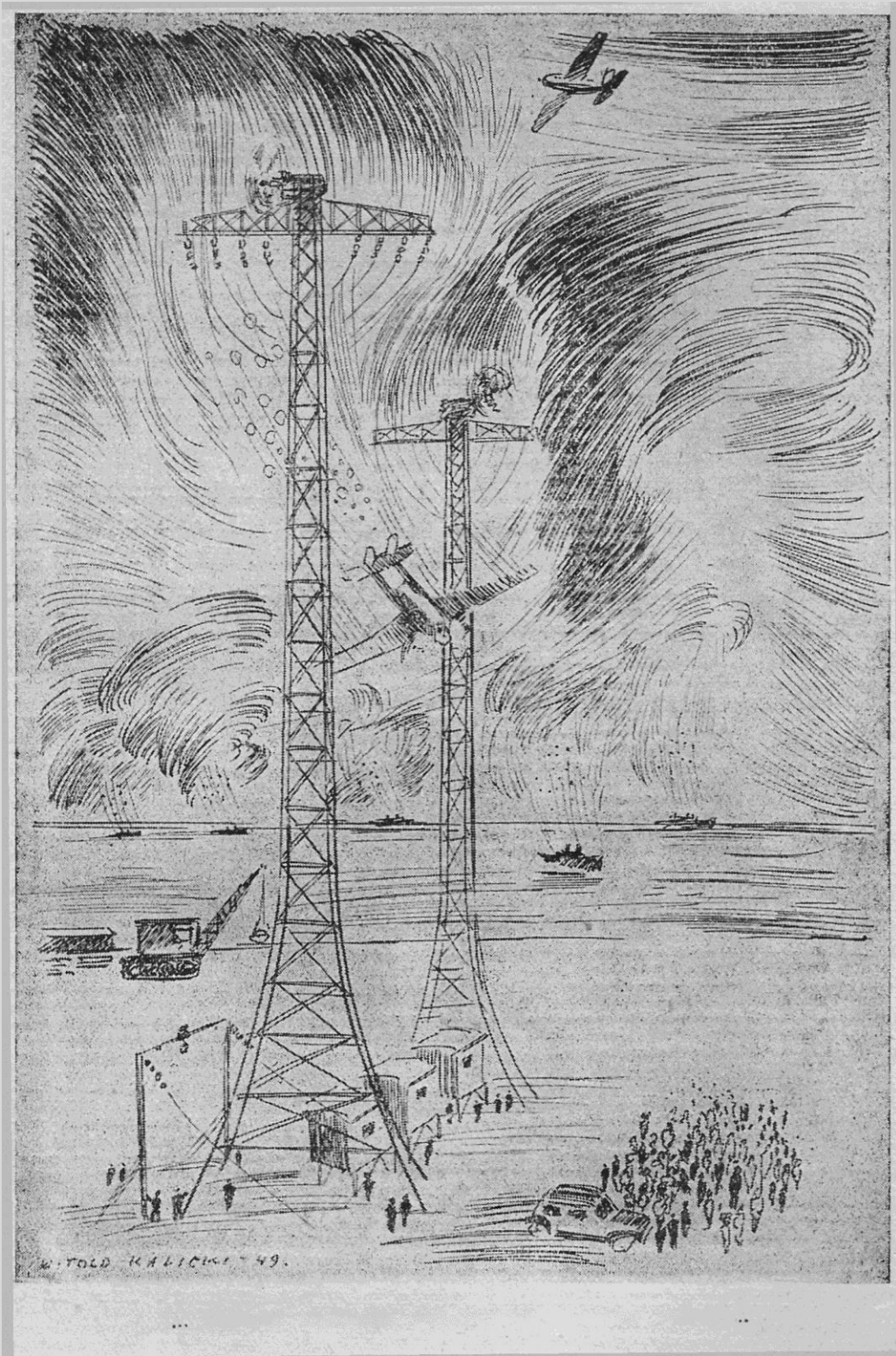
– On powiedział Wasyl Boczkarow? To przecież o nas mowa...

– Uwaga! – rozległo się z głośnika. – Za chwilę włączamy pierwszy elektromagnetyczny przewodnik chmur Kłajpeda – Saratów.

W oddali rozległa się salwa dział, orkiestra zagrała hymn Związku Radzieckiego i równocześnie ukazał się samolot ze znaną Zorinowi sztuczną chmurą. Dał nurka między dwa pierwsze maszty, wyłączył sieć i chmura rozplynęła się w powietrzu. Za nim nadlatywały inne, nurkując między maszty, wyzwalając obłoki i szybko, już z pustymi sieciami, odlatywały.

Równocześnie ukazał się niewielki statek, z którego sterczały w górę setki lin, a dziesiątki chmur nakrywały go niby parasolem. Statek ten również przepłynął mimo brzegu, a wilgotna, jakby zateęchła mgła rozplynęła się po całym wybrzeżu.

Nagle nad zgromadzonym tłumem rozległ się jakby głośny syk. Wszyscy zobaczyli, że maszty ożyły; zabłysły światła lamp, sygnalizując



Samolot nurkował między dwa pierwsze maszty.

włączenie prądu. Obłoki zostały wessane pomiędzy maszty. Całe kłęby chmur przemykały coraz szybciej od jednych do drugich masztów, tworząc długi skłębiony walec.

Był to elektromagnetyczny przewodnik chmur, którego model niejednokrotnie przerabiał i uzupełniał Kiriuszyn w laboratorium „zbuntowanych elektryków”

Przewodnik chmur pracował na tej samej zasadzie co każda dynamomaszyna. W dynamomaszynie ruch pola magnetycznego powoduje przepływ elektronów po przewodnikach. Na masztach przewodnika chmur i między nimi, w budkach, rozmieszczone były elektromagnesy. Zmienne ich włączenie powodowało obracanie się pola magnetycznego i naelektryzowane krople przechodziły od jednej pary masztów do drugiej, jak gdyby na brzegu morza leżała ogromna anoda, zaś w stepach Zawołża – katoda.

Ludzie z podziwem patrzyli na pędzące ze świstem i szumem chmury. Początek ich dawno już skrył się za horyzontem, a pierwsze maszty bez przerwy w dalszym ciągu wsysały nowe obłoki, które zakryły niemal całe morze. Spoza nich wylatywały samoloty, wyrzucające pojedyncze chmury z sieci, a statki zwoziły je setkami.

KŁAJPEDA –SARATOW

Linie elektromagnetycznych przewodników chmur rozchodziły się od wybrzeży morskich po wszystkich okręgach kraju, gdzie trwała susza i bezlitosne słońce wypalało zboża. Obłoki Morza Kaspijskiego nasycali okręg Stalingradzki, stepy Salskie, Azowskie i Kubań, a chmury czarnomorskie – Ukrainę i północny Krym. Lecz najważniejszą linią, która zdolna była wchłonąć około tysiąca sześciennych metrów na sekundę, była magistrala: Kłajpeda –Saratow.

Główna linia zaczęła pracować o godzinie dziesiątej rano. Dziesiątki tysięcy budowniczych – kolchoźnicy z okolic Saratowa, Kujbyszewa, Rostowa i Baszkirii razem z Litwinami i Białorusinami, którzy im pomagali w budowie – nie opuszczali stanowisk, czekając na pierwsze obłoki pary. Wieczorem para doszła do Mińska. Całe miasto tonęło w ciemności, gdyż elektrownia była chwilowo zajęta dostarczaniem prądu na główną linię (z powodu braku wiatru -silniki na masztach były nieczynne). Ale już do

siódmego lipca budowniczowie wilejskiego wodospadu zobowiązali się wykończyć przed terminem jedną z elektrowni i dostarczyć prąd przewodnikowi chmur, by Mińsk otrzymał z powrotem światło.

Dla uproszczenia budowy „droga chmur” była przeprowadzona nad rzekami, autostradami i torami kolejowymi i właśnie teraz obłoki świszczącej pary pędziły nad szynami, wchłaniając dym z pozostających w tyle parowozów.

Nieprzeliczone tłumy robotników, monterów i inżynierów wybiegały na spotkanie życiodajnych chmur, niosących milionom ludzi chleb.

Okolo północy chmury, minawszy białoruskie lasy, popłynęły w step. Tu już rozpoczynały się okręgi nawiedzone suszą. Prawie z każdej stacji prowadziła bocznica do okręgów potrzebujących wilgoci, a od węzłowych stacji prowadziły główne linie na Kijów, Połtawę i Kursk.

Chociaż przewody chmur zasilala prądem nowowypbudowana hydroelektrownia w Kremieńczugu – napełnienie głównej sieci opóźniło się. Dopiero koło godziny ósmej rano pierwsze obłoki dosięgły Charkowa, skąd rozchodziły się przewodniki chmur do obwodu Dniepropietrowskiego i na Don. Jeszcze przez cały następny dzień do samego wieczora płynęły chmury z Charkowa do Saratowa.

*

Razem z wujem i Nierubinem Szura oczekiwała chmur w Saratowie. Po tamtej stronie Wołgi, za mostem, na szerokiej zielonej łące wznosiły się takie same maszty jak w Kłajpedzie, tylko znacznie mniejsze. Płaski brzeg był zapełniony autami i traktorami.

Cierpliwy i powolny Nierubin po raz dziesiąty objaśniał traktorzystom, jak przyczepia się elektrostatyczną sieć i jak podjeżdża się do masztów. Na samochodach siedzieli znudzeni czekaniem kierowcy oraz brygady „orkiestrowe” wraz ze swymi olbrzymimi bębnami i gwizdami. Od czasu do czasu niektórzy z nudów włączali instrumenty i wówczas ryki lub gwizdy straszły krowy na pobliskich pastwiskach.

Jeden z traktorzystów z obwiązaną twarzą denerwował się:

– Dosyć tłumaczeń. Stoimy od rana. Dawajcie już ten deszcz. Nocą będzie go ciężko wieść.

Zasepiona staruszka, w czarnej koronkowej chusteczce na głowie, machała olbrzymią pałką od bębna i głośno opowiadała najbliższym:

– Oj, źle się dzieje! Za dawnych czasów było lepiej, bo u nas pop Afanazy był wielkim mistrzem wywoływania deszczu!... Bywało, wyjdziemy z procesją, wyniesiemy obraz za miasto – patrzemy, już i deszcz pada.

A teraz!... Trzeba pisać podanie do gminy, potem pędzić do miasta, wreszcie czekać... Ja mam syna lotnika. W zeszłym miesiącu kazałam mu przywieźć deszcz i przywiózł. Teraz znów przywiezie.

Szura zdenerwowana kręciła się wciąż między polem a kancelarią i prawie co pięć minut prosiła telefonistkę o informacje.

Telefonistka z uśmiechem brała słuchawkę, łączyła się z najbliższymi stacjami i informowała Szurkę, która znów wybiegała na ulicę. – Jeszcze całe pół godziny – wołała do Nierubina, lecz on, jakby nie słysząc, tłumaczył cierpliwie traktorzyście:

– Zieloną linę przyczepiasz do prawego górnego kółka, czerwoną do lewego górnego kółka. Jadąc przez las uważaj na drzewa. Strzeż się wiatru – lepiej przeczekać, jeśli będzie wiatr.

Traktorzysta, przestępując z nogi na nogę, nie wiadomo, czy z bólu zęba, czy ze zniecierpliwienia, wołał:

– Dosyć już, dosyć! Umiem na pamięć jak wiersze.

Szura znów biegła do kancelarii, prosząc telefonistkę o połączenie z Rozbojszczyną, denerwując się, iż tam tak długo przetrzymują chmury.

Obłoki znajdowały się jeszcze 15 km od Saratowa, gdy Nierubin zauważył jakby lekką mgłę między masztami i krzyknął przeraźliwie:

– Dlaczego stoisz? Włączaj! Przecież pamiętasz jak wiersze.

Zaledwie zdążyli ustawić sieć między masztami, gdy pojawiła się lekka mgielka.

Szura podniecona mówiła do traktorzysty:

– Widzisz, jak pięknie ściele się para!

Lecz traktorzysta nie podzielał jej zachwytów i patrzył z lekceważeniem na drobne strzępki pary wodnej.

Pierwsza elektrostatyczna sieć napełniała się w ciągu 22 minut, lecz ledwo zdążyli założyć drugą, rozległ się szum i na moście widać było kłębiącą się parę, biegnącą po całej elektromagnetycznej trasie.

Zdawało się, iż gdzieś pod wodą pędzi z szaloną szybkością pociąg.

Świszczące kłęby pary w ciągu kilkunastu sekund napełniły sieć i zaledwie traktor wywiózł ją i podjechał następny, powietrze nasycone było wilgocią i zapachem morza.

Profesor Chitrowo wyskoczył, by dać ostatnie wskazówki odjeżdżającym „orkiestrom”. W górze płynął pierwszy bałtycki obłok. Chmury przewożono po drogach, w pobliżu których nie było ani drzew, ani drutów telegraficznych.

Wkrótce można było zauważyć, jak we wszystkich kierunkach rozpląwały się obłoki. Po upływie dwóch godzin całe pole opustoszało. Profesor Chitrowo zatelegrafował do Bałaszowa, żeby do rana wyłączyli saratowską sieć i skierowali chmury na Kamyszyn.

ZAKOŃCZENIE

Szurka po nieprzespanej nocy, w czasie której czekała na przybycie chmur, przez cały następny dzień bez chwili odpoczynku notowała ich ruch po drodze Charków-Bałaszów. Dopiero gdy brzeg opustoszał i resztki pary rozpląwały się nad Wołgą, poczuła zmęczenie. Zdawała sobie sprawę, iż nie będzie miała sił dojechać do domu i postanowiła przespać się na stole w kancelarii. Ale zmęczenie było tak wielkie, że sen nie sklejał jej zmęczonych powiek. Nie odczuwała nawet radości ze spełnienia jej dwuletnich marzeń, marzeń kilku pokoleń rodu Chitrowo. W głowie szumiały i huczały instrumenty wuja, bulgotały kłęby pary.

– Wuju! – krzyknęła nagle. – Czy miliard pudów to dużo?

Staruszek odpowiedział surowym głosem z za przepierzenia:

– Spij nudziaro i daj mi spać. Jestem zmęczony.

Szura zaczęła liczyć: miliard pudów zamieniła na tony, potem rozdzieliła między 200 milionów ludności i to na 365 dni... Ale że była słaba w rachunkach, musiała zacząć na nowo.

– A nie zapomnij o przypieku – nieoczekiwanie zawołał wuj.

Widocznie i on nie mógł spać i dzielił pudy na ilość mieszkańców.

Szura zapadła w półsen i wydało jej się, że idzie po złocistych niwach i każdy kłos kłania jej się swą ciężką, pełną dojrzałych ziaren, główką. Jest duszny dzień przed burzą. Szurka ma na sobie kwiecistą suknię, a złote włosy, koloru dojrzałej pszenicy, okalają koronę jej główkę. Obok idzie ktoś, kto nie spuszcza z niej oczu.

Szura czuje, że czerwienieje, ale czuje równocześnie dziwną radość. Cieszy ją to, że wie, iż podoba się temu człowiekowi. I on podoba się jej bardziej od wszystkich poznanych dotychczas. Jest podobny do ciemnowłosego lotnika z czarnymi ognistymi oczami; jest dobroduszny i cierpliwy jak Nierubin, a wesoły i rozmowny jak... Wasyl...

– Wujku, czy byłeś kiedy zakochany?

Za ścianką profesor obrócił się ze złością na drugi bok.

– Skandal! Zawracasz mi głowę głupstwami i nie dajesz spać! Żebyś mnie więcej nie budziła! Oj, ta dzisiejsza młodzież!...

Szurka zamikła i leżała cicho jak mysz. Po kilku minutach wuj sapiąc odezwał się:

– Cóż ty, myślisz, że ja nie byłem młody i że od razu urodziłem się profesorem?

Szura przeczekwała chwilę, aż wuj przestanie przewracać się na łóżku, wstała i po cichutku siadła w otwartym oknie. Księżyc swym srebrzystym blaskiem świecił jej wprost w oczy. Powietrze przesycone było zapachem morza. Z rozkoszą wdychała go, myśląc o dalekim morzu i wszystkich miastach, miasteczkach i okolicach, dokąd dosięga teraz ten zapach, i czuła się niewymownie szczęśliwa.

Po chwili zauważyła, że z okienka sąsiedniego pokoju, gdzie śpi wuj, zabłysło światło.

Ach tak, pomyślała, to wuj każe mi spać, a sam pracuje. Ja mu dam za to!

Bezszelestnie zsunęła się z okna, przekradła do następnego i oparłszy się o parapet, zawołała basem:

– Nad czym pracujesz, dobry człowieku?....

Skonfundowany profesor jedną ręką przytrzymał szlafrok, drugą zakrył mapę leżącą na stole, na której coś kreślił czerwonym ołówkiem. Ale Szura, wskoczywszy przez okno do pokoju, odsunęła go od mapy.

– Powiedz mi, co to takiego. Wyjaśnij!...

Profesor, złapany na gorącym uczynku, z początku zaczął mówić tonem obrażonym, który stopniowo przechodził w przyjacielsko-serdeczny.

– Cóż ty myślisz, że tylko ty jedna możesz dać unieść się marzeniom? I ja marzę! Marzę, że gdy w roku przyszłym już nie będzie suszy na Ukrainie, wtedy skierujemy obłoki na nowe ziemie. Widzisz, zakreśliłem stepy Astrachańskie, dalej cały Kazachstan i środkowo-azjatyckie republiki. Już nie będzie bezwodnych i bezpłodnych pustyń! Zamiast gorących piasków turkmeńskich będziemy mieli lasy palmowe.

Szurka złapała czerwony ołówek.

– Wujku, tu napisano „Pustynia Kizyl-Kum“. Zakreślić?

– Naturalnie! I Kara-Kum obok – również. I Głodny Step po drugiej stronie. Cóż nam po nim. Wykreśl go zupełnie!

SPIS TREŚCI

| | str. |
|---------------------------------------|------|
| Niezwykłe zjawisko | 3 |
| Pojutrze o 6 z rana | 9 |
| Start | 12 |
| Nad Morzem Kaspijskim | 15 |
| Baku | 19 |
| Burza bez deszczu | 20 |
| Przy ognisku | 25 |
| Dynastia Chitrowo | 29 |
| „Zbuntowani elektrycy“ | 32 |
| Drogocenny ładunek | 35 |
| Koncert nad Czerwonym Jarem | 42 |
| Po czterech tygodniach | 46 |
| Dyplomacja | 49 |
| Kłajpeda — Saratow | 56 |
| Zakończenie | 59 |

NAUKA – FANTAZJA – PRZYGODA

W. SAPARIN TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIE INŻ. BOBROWA str. 44 zł. 75
AL. STUDZICKI WĄWÓZ BATYNTAR-DŹOŁ str. 96 zł. 95
WŁ. NIEMCÓW ZŁOTE DNO str. 104 zł.

WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA”